

aleje 3

NUMER 75 · wrzesień - październik 2009
ISSN 1427-6812 CENA 3 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

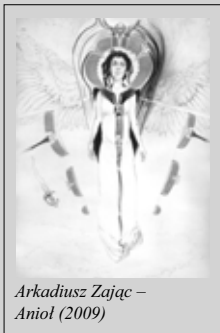
Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Nakład 400 egz.



Arkadiusz Zajac –
Aniol (2009)

Mukali, jeden z wodzów Czyngis-chana, który na początku XIII w. podbił Chiny, w zdobytych miastach, jeśli się nie poddały na pierwsze wezwanie, kazał zabijać wszystkich mieszkańców. Oszczędzał jednak kamieniarzy i aktorów, ponieważ wysoko cenili artystów.

Sprawa Romana Polańskiego podzieliła społeczeństwo, w tym środowiska twórcze: czy artysta jest zwykłym człowiekiem, czy też kimś ważniejszym, komu znacznie więcej wolno i kto mniej odpowiada przed prawem.

Na przestrzeni historii artyści zawsze byli traktowani specjalnie. Korzyścili z przywilejów, bogactwa, sławy, a czasem i z bezkarności. W każdym czasie i na wszystkich kontynentach znajdowali protektorów, choć bywali w życiu doczesnym ludźmi bardzo grzesznymi. Podlegali ochronie, ponieważ uważano ich za pośredników pomiędzy niebem a ziemią, a twory ich głów i rąk za cenniejsze i trudniejsze do zdobycia od najrzadszych minerałów. Ważną rolę artystów doceniali władcy wszystkich krajów i epok, królowie, papieże i parlamenty, a nawet i dyktatorzy, tylko czasem zsyłając niepokornych twórców na pola ryżowe lub do obozów.

Czy i dziś artystom wolno więcej? Czy w uzasadnionych przypadkach powinni jednak stawać przed sądem i trafiać do więzienia? Czy powinniśmy przymykać oczy na wykroczenia, łamanie prawa, nawet zbrodnie wrażliwych ludzi? Skoro artysta jest wrażliwszy od innych, to powinien być bardziej odpowiedzialny czy mniej odpowiedzialny? Gdy sprawa dotyczy zwykłego człowieka, nie mamy wątpliwości. Inaczej z artystami, wydają się nam niezbędni, to nasza pierwsza potrzeba. Potrzebujemy ich nawet wbrew rozsądkowi i wbrew prawu. Chcielibyśmy szanować prawo, ale w głębi duszy odpuszczamy wrażliwym ludziom, którzy dają nam przeżycia o charakterze, które tylko oni są w stanie wytworzyć. Potrzebując twórczości, godzimy się na dziwactwa życia artysty. Gdy się dowiadujemy o złych rzeczach a nawet zbrodniach, przymykamy oczy, ponieważ trudno nam przychodzi zrozumieć i zaakceptować fakt, że artysta też jest człowiekiem, a krzywda jaką wyrządził bliźniemu, może być bardzo dotkliwa. Uciekamy od jednoznacznego potępienia złych czynów, szukamy usprawiedliwienia w złożoności duszy i przydatności twórcy dla naszego świata.

Wnuk Czyngis-chana, Kubilaj, rozszerzył mongolskie panowanie i pod koniec XIII wieku imperium to było największe na świecie, obejmując ziemie od Oceanu Spokojnego po Węgry, od ruskiego Nowogrodu po Koreę. Gdy umarł, zwołano wielkie zgromadzenie wodzów i wielmożów, aby wybrać następcę. Sprawa nie była łatwa, władanie tak ogromnymi obszarami wymagało nie lada umiejętności. Ustalono, że o władzy rozstrzygnie debata publiczna pomiędzy pretendentami do tronu. Ponieważ syn zmarłego chana nie przeżył ojca, do pojedynku stanęli wnukowie Kubilaja: starszy Kamala i młodszy Temur. W sensie militarnym, więc dla Mongołów praktycznym, na chana bardziej nadawał się wojowniczy Kamala, Temur odstawał od brata doświadczeniem i umiejętnościami w robieniu bronią.

Kogo wybrano? Chanem został Temur. Był bowiem gadatliwym i błyskotliwym showmenem, Kamala zaś się jąkał.

Marian Piotr Rawinis

KONGRES

3. Światowy Kongres Częstochowian Kongresowa relacja

12 września w Filharmonii Częstochowskiej. Otwarcie 3. Światowego Kongresu Częstochowian. Szczęśliwie odstępiono od nudnej, przegadanej formy stosowanej zwykle przy takich okazjach – podziału na część oficjalną i artystyczną. To było widowisko*, montaż filmu, piosenki, obrazków choreograficznych i przemówień. Całość prowadził znany z częstochowskiego teatru, a obecnie występujący w chorzowskim Teatrze Rozrywki Marian Florek, racząc zebranych anegdotkami z „Gońca Częstochowskiego”. Partnerowała mu koleżanka z tegoż teatru Barbara Ducka. Baletowe wstawki zespołu młodzieżowego nie porwały mnie; nieraz widziałem, co potrafią w tej dziedzinie częstochowianie. Niezwykle były natomiast fragmenty filmów – archiwalnych i stylizowanych na archiwalne – oraz wyświetlane zdjęcia, przenoszące wi-

dza w świat dawnej Częstochowy. O artystycznych walorach wykonań wokalnych i instrumentalnych mógłby się kompetentnie wypowiedzieć ks. Szymonik. Powiem tylko, że się ucieszyłem, mogąc znów zobaczyć i usłyszeć Jarosława Woszczyne, którego płyty, wydanej kiedyś przez miasto, słucham z wielką przyjemnością. Marian Florek od konferansjerki przechodził do tańca lub śpiewu, co musiało być dość męczące. Całość spektaklu wiązał jednak w sposób umiejętny i miły. W sukurs przychodziła mu śpiewająco Barbara Ducka i Kapela Piosenki Wszelakiej z Rakowa.

Mowy powitalne były krótkie i zawierały rzeczy istotne:

„Niech Bóg wam we wszystkim błogosławi! Kocham was i cauję. Antek Długosz” – biskup Antoni Długosz, który wywołał burzę oklasków. „Aby być dobrym lekarzem, trzeba najpierw być dobrym człowiekiem” – za Władysławem Biegańskim profesor Grzegorz Opala. „Z góry lepiej widać. Jasna Góra nie potrzebuje przywilejów, ma je od polskich królów. Potrzebuje tylko życzliwości i przyjaźni, jak każdy człowiek” – przeor Roman Majewski. „Jesteśmy częstochowianami. Krajobraz Częstochowy jest nam najbliższy” – mówił prezydent Tadeusz

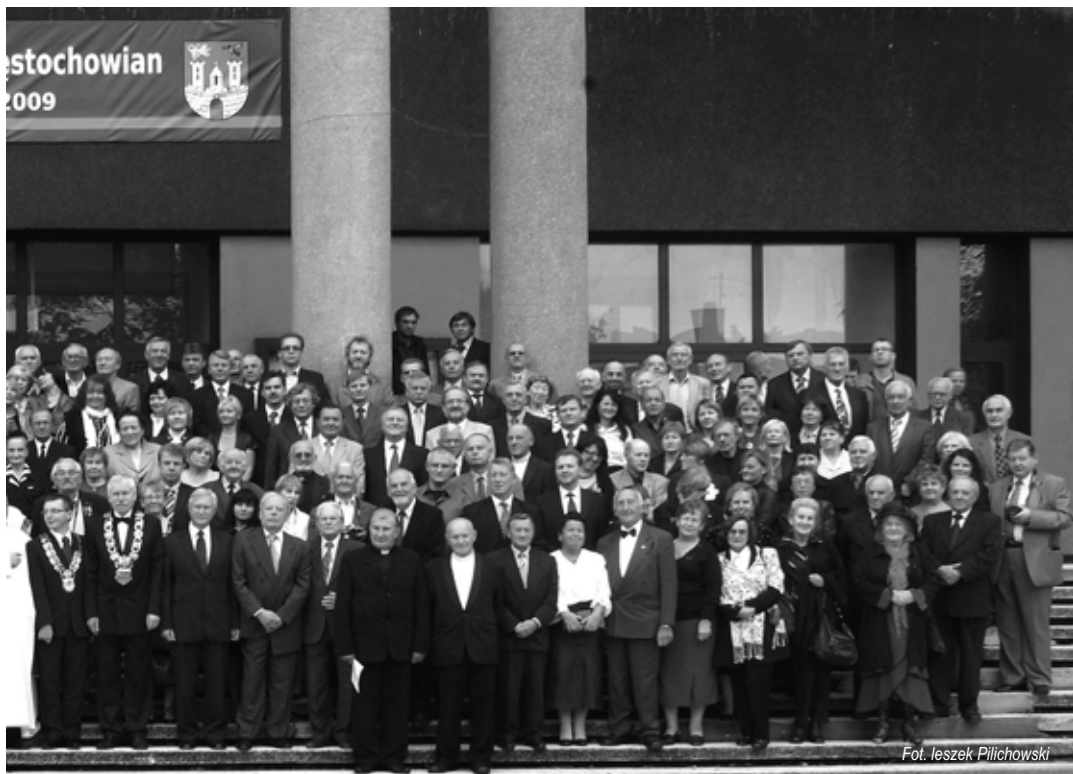


Wrona i cytował wypowiedzi z I Kongresu – Zygmunta Rolata: „Moje korzenie są tutaj i jestem z tego dumny”. Profesora Opalę: „Co dzisiaj potrafimy dać naszemu miastu?” Jerzego Kuleja: „Temu miastu nie można niczego odmówić, bowiem jest ono wpisane nie tylko w naszych dowodach, ale w naszych sercach”. I Ludmiłę Marjańską: „Miasto młodości”.

Miejskie władze reprezentował również – także w służbowym łańcuchu – przewodniczący Rady Miasta Piotr Kurpios. Szczególnie piękna w formie i niebanalna w treści była przemowa ks. profesora Kazimierza Szymonika, prorektora Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie. Składał hołd swoim mistrzom: Edwardowi Mąkoszy, zmarłemu niedawno Eugeniuszowi Brańce, Antoniemu Szuniewiczowi oraz księdzu Władysławowi Konieczce. Cytował Jana Pawła II i Benedykta XVI, podkreślał rolę muzyki w życiu i wychowaniu człowieka. Falszowanie w śpiewie nie jest wcale taką błahą sprawą! Świadczy nie tylko o brakach w dziedziczeniu muzycznej. Nie wiem, czy ta opinia, choć poparta wielkim autorytetem, ma zastosowanie do wszystkich, a jakoś śpiewu może być wystarczającym sprawdzianem wartości duchowych i moralnych, ale z pewnością

zaniebdywanie sfery muzycznej nie wychodzi na dobre. Zygmunt Rolat mówił zaś o zbliżającym się odsłonięciu pomnika Żydów częstochowian, dzieła Samuela Willenberga – autor był na sali – oraz o fascynującej historii ze skrzypcami Stradivariusia, kiedyś przez polskiego hrabiego Zamojskiego podarowanymi żydowskiemu chłopcu Bronisławowi Hubermanowi, które w rękach Joshuy Bella wrócić do Częstochowy na jego koncercie. Tadeusz Szyma dzielił się wspomnieniami i refleksjami o kulturze w Częstochowie. Odczytywano listy, m. in. przewodniczącego Parlamentu Europejskiego prof. Jerzego Buzka, rzecznika praw obywatelskich Janusza Kochanowskiego, prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego. Tym razem nie mogli przybyć, więc starali się, by ich listy nie były tylko zdawkowymi grzecznościami. Drogą zaś audiowizualną Jan Pospieszalski wystąpił mocno w obronie Alei dla pieszych. To piesi wymyślili samochody i im się też coś należy.

Tradycyjne wspólne zdjęcie na schodach Filharmonii i poczęstunek dopełniły programu otwarcia. Wznosząc toast, Tadeusz Wrona zwracał uwagę, że to my teraz, na co dzień, tworzymy historię.



KONGRES



Fot. Ileszek Pillichowski

W związku z obecną sytuacją w mieście, uczestnicy Kongresu podpisali się pod listem poparcia dla prezydenta Wrony.

Wieczorem koncertował Piasek-Piaseczny przed Ratuszem; pełno ludzi, przeważnie młodych, na Placu Biegańskiego, ruch w III Alei. To na zewnątrz. A w różnych salach – spotkania grup według dziedzin: kultura, nauka, architektura, biznes, sport i turystyka. W Ratuszu spotkali się ludzie kultury. Jak też zaczęli się przedstawiać kolejno, jak zaczęli mówić pokrótce o swoim dorobku, osiągnięciach, o swojej pracy i gdzie teraz mieszkają! Ta w Ameryce, ten w Austrii, ta we Francji albo w Niemczech, w różnych miastach Polski. Muzyka, balet, sztuki plastyczne, literatura, szachy... Bywalcy światowych metro-

poli, aktorzy wielkiej sceny kultury światowej ogłaszali swą miłość do Częstochowy, że Częstochowa jest dla nich najpiękniejsza. Pamiętali też o szkołach, z których wyszli. Z Tadeuszem Orgielewskim i naczelnikiem Kozęną mogliśmy się uważać za reprezentację Liceum im. Świerczewskiego.

W niedzielę odbyła się msza święta na Jasnej Górze z homilią dającą do myślenia (abp Nowak, metropolita częstochowski), wybieczka na Jurę, koncert uczestników Kongresu (Ewa Margareta Cyran i Dietmar Ungerank, Teresa Janina Czekaj, Dariusz Siedlik i Cezary Sanecki).

W programie Kongresu, jako imprezy towarzyszące, były też prezentacje książek, kameralny spektakl „Głos tułaczy”, wernisaż wystawy w Muzeum Pielgrzymowania „Żyd niemalowany w Ziemi Obiecanej” i premierowy pokaz filmu dokumentalnego „Tu zawsze byliśmy wolni”. Włączono także koncert inauguracyjny sezon artystyczny 2009/2010, w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Częstochowskiej i solistów pod dyrekcją Jerzego Salwarowskiego. Wśród przedstawionych książek były poezje Tadeusza Chabrowskiego, którego brat, mieszkający na stałe w Częstochowie, jest cenionym pejzażystą. Tadeusza Chabrowskiego zaś życiowa droga zawiodła z zakonu paulinów na Jasnej Górze do Ameryki, gdzie całkowicie poświęcił się poezji. Poeta również uczestniczył w Kongresie.

Takie wydarzenia uświadamiają, ilu różnych interesujących ludzi wywodzi się z Częstochowy i że chcą oni w Częstochowie być, zaistnieć z tym, co robią, co dla nich jest ważne i co wnoszą do życia społeczeństw. To może być mobilizujące! Dla samych uczestników – częstochowian, którzy tu teraz mieszkają i tych, co wyjechali w świat – Kongresy są szansą spotkania między sobą i ze swoim miastem.

Władysław Ratusiński

* „Przez stulecia” – reżyseria: Marian Florek, muzyka: Jarosław Woszczyzna, choreografia: Włodzimierz Kuca; scenariusz: Janusz Pawlikowski, multimedia: Robert Ociepa



Fot. Ileszek Pillichowski

Truchcikiem po galeriach

Galeria OPK Gaude Mater prezentowała latem ciekawą wystawę absolwentów (I^o, licencjat) pracowni dyplomowych prof. Mariana Jarzemskiego oraz prof. Wernera Lubosa na kierunku Malarstwo. Instytut Plastyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie może się pochwalić corocznymi dobrymi dyplomami w różnych dziedzinach sztuki. Tym razem po krótkiej wystawie w maju tego roku w Konduktorowni, związanej z procedurą obrony artystycznej w ramach zakończenia licencjatu, która to wystawa zaskoczyła interesującą malarską aurą poszczególnych indywidualnych pokazów młodych adeptów sztuki, postanowiono z wybranych prac zrealizować dłuższy pokaz w Galerii OPK. Prace zaprezentowali: Magdalena Barczyk, Marta Budziszewska, Anna Chwałowska, Łukasz Gawron, Marcin Jakubczak, Magdalena Jasińska, Marzena Lecka, Jakub Mizga, Joanna Mysiek, Leszek Paszkowski, Aleksandra Plachta, Karolina Seredyn, Damian Wilk, Anna Wójcik i Aleksandra Żakowicz. Ta dość kameralna wystawa, związana z zawężoną przestrzenią wystawienniczą, pokazała potencjał artystyczny czternaściorga młodych twórców. Potencjał bardzo osobisty, egzystencjalny, już charakterystyczny, jeżeli chodzi o tematykę czy sposób rozwiązywania problemów malarskich na płaszczyźnie. Jedyne obiekty, „telewizor” Leszka Paszkowskiego czy rodzaj instalacji malarskiej Łukasza Gawrona, w sposób ewidentny urozmaiciły zakres ekspozycji. Szereg prac zastanawia dojrzałością wypowiedzi, prawdą życiowych doświadczeń. Wystawa godna uwagi i zobaczenia.

Miejska Galeria Sztuki zaprezentowała w lipcu dwie wystawy fotograficzne o różnym poziomie i kształcie. Pierwsza z nich, zatytułowana „Fotografie z podróży”, prezentuje przede wszystkim prace częstochowskich artystów plastyków, fotografików czy ludzi zwanych globtroterami bądź podróżnikami, którzy w różnych miejscach świata zaobserwowali pewne pejzaże kulturowe, zachowania ludzi czy klimaty związane z inną przestrzenią społeczną. Komisarzem tej interesującej wystawy już po raz drugi była Barbara Szyc, pracownik merytoryczny galerii. Najbardziej

konsekwentnie posłużył się aparatem fotograficznym i dał próbkę swego talentu Jacek Sztuka, który pokazał zestaw zdjęć pt. „Czarny Paryż”.



Drugą wystawę „Świat jaki jest...” Grzegorza Kłodki, znanego z pełnych złośliwości wypowiedzi dwukrotnego ministra finansów RP, miałem okazję już wcześniej oglądać w MGS w Zakopanem. Ta wędrująca przez Polskę ekspozycja nie jest najwyższego lotu. Wiele banalnych małoformatowych fotografii świadczy o jeszcze amatorskich możliwościach pana profesora nauk ekonomicznych. Znana podróżniczka Elżbieta Dzikowska chwali w swojej wypowiedzi penetrację fotograficzną wędrującego przez świat polityka.

4 września, w Konduktorowni Zachęty, Austriacy z Grazu, z artystycznej organizacji Berufsvereinigung der Bildenden KünstlerInnen Österreichs Landesverband Steiermark, zaprezentowali swoje osiągnięcia w dziedzinie malarstwa i rzeźby, były również malarskie kolaże. Wystawa zatytułowana „Polish Rhapsody – Making Friends” zgromadziła na swym wernisazu tłum gości. Otwierającą wystawę właściwie mówili o wszystkim, tylko nie o sztuce. Takie sobie niekompetencje. Ważne było, że wystawa jest, ma dobry katalog, że jest to rewizyta i będzie zapewne re-rewizyta zachętownców w szer-

szym gronie w Grazu. Tytuł wystawy trochę enigmatyczny, może intrygować i zastanawiać. Wcześniej w Grazu w kwietniu 2008 roku artystyczna wizytę złożyli Włodzimierz Karankiewicz i Jacek Łydźba, by na miejscu zrealizować wielkoformatowy obraz, który zaprezentowali z dużym uznaniem publiczności w tamtejszym Künstlerhaus. Częstochowska wystawa jest dwu-, może trzypostaciowa. Malarstwo nie rzuca na kolana. Interesujące prace Christian König, Beate Landen czy Reginy Peier oraz Barbary Raic mówią wiele o pewnym nostalgicznym charakterze tego malarstwa, będącego próbą spojrzenia w przeszłość w sensie mentalnym i psychologicznym. Kolaże Renate Polzer, Elisabeth Schwarzbauer, Christine Kertz są odwołaniem malarstwu do muzyki, do sfery muzyczności jej zapisu czy kolorystycznego wybrzmienia.

Najważniejszym elementem wystawy była rzeźba Roberta Puczyńskiego, częstochowianina, absolwenta wiedeńskiej ASP, osiadłego w Grazu. Jego „Czerwony dywan” oraz „Red Burst”, poliestrowa forma kojarząca się z wnętrzem kości, z formą biologiczno-architektoniczną, nadała wystawie nowoczesny artystyczny wyraz. Można też z jakimś dystansem szukać w tych rzeźbiarskich przedstawieniach związków z realizacjami i akcjami wiedeńskich akcjonistów. W wystawie i prezentacji austriackich artystów uczestniczyły również: Edith Lechner, Evelyn Hruby-Sperker, Susanne Fruhwirth-Nievoll, Rosi Donner, Margarethe Arvay. Artystki te przedstawiły w różnorodnych technikach malarskich swoje sentymtalne i resentymentalne wewnętrzne wyobrażenia odnoszące się do egzystencjalnej i politycznej przeszłości. Ekspozycja warta zobaczenia.

Skatepark – przestrzeń alternatywna

Dla młodzieży, z młodzieżą, o młodzieży!!! Zapewne pod tak sformułowanym hasłem podpisały się stare klasyki. Podpisali się pod nim również artyści: Jola Jastrząb swoim malarstwem oraz Adam Maruszczyk swoją fotografią. To, co przecież młode, związane z młodością, jest: pierwsze, świeże, niewinne, niepowtarzalne, witalne, odważne, ryzykowne. Dawniej temat młodości w sensie filozoficznym, moralnym czy egzystencjalnym interesował przede wszystkim pisarzy, np. Williama Szekspira w „Śnie nocy letniej”, Johanna Wolfganga Goethego w „Fauście” i „Cierpieniach młodego Wertera”, Tomasza Manna w „Śmierci w Wenecji” czy Witolda Gombrowicza w „Ferdynandzie” lub w „Pomografii”. Oni też pozamykali swoją młodość w te literackie boksy-pudełka, które od czasu do czasu otwieramy. Młodość, temat-rzeka, który i tak płynie do morza, zlewa się, mając swoje niezatapialne mitologiczno-atawistyczne źródła w pamięci sąsiadujących ze sobą pokoleń. I tak na przykład wnuczek-dziesięciolecie może już dziadka np. sześćdziesięcioletniego wysłać w przestrzeń wirtualną przy pomocy choćby zwyczajnego MMS, a w internecie może dokonywać różnych niebezpiecznych czynności włącznie z włamywaniem się do zasobów danych osobowych Pentagonu. Mając na uwadze rozlewające się zjawisko młodości w przestrzeni publicznej, artyści Jola Jastrząb i Adam Maruszczyk postanowili je zobaczyć w pewnym skoncentrowaniu, a mianowicie w skateparku przy Promenadzie Czesława Niemena w Częstochowie.

W Konduktorowni częstochowskiej Zachęty artyści przedstawili interesujące prace, zarówno te malarskie, jak i fotograficzne. W sierpniu zarówno na wernisażu, jak i w trakcie wystawy młodzi ludzie ze skateparku i ich znajomi odwiedzili po raz pierwszy galerię sztuki. Na samym wernisażu pojawili się na rowerach wyczynowych i deskorolkach, by wewnątrz i na zewnątrz Konduktorowni dać krótki pokaz swoich umiejętności w warunkach „ekstremalnych”. Młodzi za sprawą takich projektów wystawienniczych zaczynają interesować się sztuką. Mówili, że też fotografują i kręcą filmy, czasami malują graffiti na ścianach, starają się być również w tym dobrzy. Sama wystawa, interesująco zaaranżowana przez Piotra Dhubaka, przypadła mi do gustu swym rodzinnym charakterem, dobrymi, czasem ryzykownymi kompozycjami malarskimi, jak również fotograficznym zapisem stylu życia i „wyczynu” młodych i jeszcze młodszych.

Marian Panek



Fot. Ileszek Pilichowski

„Cudzidła” w Bibliotece

W miesiącach letnich tego roku (sierpień, połowa września) w Bibliotece Publicznej przy ul. Księżycowej 2 w Częstochowie swoją różnorodną twórczość zaprezentowała pani Alicja Nowak, artystka znana, wystawiająca często i z powodzeniem w całej Polsce. Pani Alicja jest słuchaczką na Uniwersytecie III Wieku Politechniki Częstochowskiej, należy do koła plastycznego „Werniks”, koła literackiego „Fraszka” oraz literackiego Klubu „Metafora” ZNP w Częstochowie.

„... Ta wystawa to prezentacja całej mojej twórczości – mówi autorka. – Prezentuję na niej malarstwo, tkactwo, zdjęcia i wiersze, które są publikowane w kilku zbiorowych wydaniach. Pierwszy raz pokazuję „cudzidła” z drewna. Są one wytworami natury zbieranymi na plaży. Były ciekawym materiałem do kompozycji. To, co widać, pobudza wyobraźnię i może inspirować innych do takiej twórczości i do zabawy...”

Wystawa, mimo sezonu ogórkowego, cieszyła się dużym powodzeniem. Odwiedzali ją zarówno czytelnicy biblioteki, jak również liczni przechodnie, oglądający ją z zaciekawieniem przez odpowiednio w tym celu przygotowane okna.

Od kilku lat, w ramach promocji biblioteki w środowisku i środowiska w bibliotece, filia biblioteczna nr 8 organizuje wystawy twórców profesjonalnych i nieprofesjonalnych. Jako że warunki wystawowe są znośne, a biblioteka tłumnie odwiedzana, udało



nam się namówić na wystawę twórczości plastycznej m.in. Małgorzatę Sętowską, Małgorzatę Domańską,

Justynę Olszewską-Budzik (nauczycieli plastyki z częstochowskich szkół), Krzysztofa Żyngiela, Agnieszkę Osowską, Michała Walczaka (absolwentów AJD), Martę Moryń, Agatę Gabor (stypendystów Prezydenta Częstochowy). Są to zarówno mieszkańcy dzielnicy Tysiąclecie, jak i czytelnicy naszej biblioteki.

Do wystawianych „cudzideł” Alicji Nowak opracowany został okolicznościowy folder, do którego zdjęcia wykonał pracownik biblioteki i jednocześnie autorka niniejszej relacji,

Halina Nalichowska



Konkurs dla artystów plastyków *Dom – droga istnienia*

Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie ogłasza konkurs na pracę z zakresu sztuk wizualnych, realizującą temat konkursu „Dom – droga istnienia”.

Konkurs jest częścią interdyscyplinarnego projektu VII Triennale Sztuki Sacrum, pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Siądma edycja Triennale odbywa się pod hasłem „Dom – droga istnienia”, a cały projekt pn. VII Triennale Sztuki Sacrum „Dom – droga istnienia” współfinansowany jest przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2007-2013.

Do udziału w konkursie zapraszamy absolwentów i dyplomantów wyższych uczelni artystycznych.

Regulamin konkursu oraz karta zgłoszenia do pobrania na stronie internetowej Galerii: www.galeria.czest.pl oraz na stronie www.galeria-sacrum.pl.

Zgłoszenia prac, w wersji elektronicznej, przyjmowane są pod adresem: triennale@galeria.czest.pl.
Termin zgłoszenia: 4 stycznia 2010

NAGRODY

Grand Prix – 12 000 zł
Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy – 7 000 zł
Nagroda Dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie – 5 000 zł
Nagroda Starosty Okręgu Bodeńskiego w Niemczech – tygodniowy pobyt nad Jeziorem Bodeńskim

BIURO ORGANIZACYJNE konkursu
DOM – droga istnienia
Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie,
Al. Najświętszej Maryi Panny 64,
42-200 Częstochowa, tel. 034 324 55 81;
fax. 034 324 60 57; info@galeria.czest.pl



Arkadiusz Zajac

Z częstochowskiego podwórka

Pochwała jarmarków

Władysław Ratusiński

W III Alei Najświętszej Maryi Panny trwa święto. Niczym na wielkim odpuszcie rozstawiły się kramy z towarami. Wśród nich młode drzewka, krzewy, byliny ozdobne, kwitnące kwiaty. Tak tego dużo, że oszołomiony polski „koliber” fruczak gołąbek (*Macroglossum stellatarum*)¹ z kwiatka na kwiatek furkocze skrzydełkami. Pyszną się miody przeróżnych rodzajów: lipowy, gryczany, wrzosowy, mniszkowy, rzepakowy i akacjowy, spadziowy, z różnych okolic i pasiek. Tarasują drogę potężne maszyny rolnicze, na zimę wprasząc się urządzenia grzewcze, a kusi jeszcze wiele innych artykułów. Wśród tego wszystkiego można wyłowić prawdziwą sztukę ludową: koronki z Koniakowa, hafty kurpiowskie, łowickie wycinanki. Ma tu swój stragan pani Helena i jej mąż. Ona wycina mistrzowsko koguciki z papieru, zachwycające bogactwem i harmonią barw w ornamentach. Motywy powtarzają się w przeróżnych wariantach formy i koloru, a każda wycinanka inna, chciałoby się mieć ich więcej. On szyje piękne łowickie stroje dla lalek. Również ich córka bierze udział w tej rodzinnej twórczości, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Pani Helena uczyła się swej sztuki od babci i mamy. Nieopodal miły pan z Sardynii wyplata koszyki z witek oliwnych i trzciny cukrowej. Jego koleżanki i koledzy na estradzie przed Ratuszem w niedzielne popołudnie wzbudzają podziw dostojnością i szlachetną prostotą ludowych strojów, rytmem, oszczędną ekspresją tanecznych ruchów, klimatem średniowiecznego świata, przeniesionym przez epoki.

Trzeba tu być dłużej, by się wsłuchać i wpatrzeć. W tych tłumach częstochowian i gości dożynkowych z całej Polski, przechodzących od straganu do straganu, od namiotu do namiotu przez Aleje i plac. I tak powinno być. Szkoda tylko, że nie był już obecny ten, który tyle pracy, inwencji i zapału włożył w organizację dorocznych wystaw i kiermaszów dożynkowych – Stanisław Juchnik. Może patrzy z nieba i się cieszy, bo jego

dzielo jest pięknie kontynuowane. „Patrz, Kościuszek, na nas z nieba!” Nie tylko zresztą dożynkowymi wystawami żył Stanisław Juchnik. Sprawował kierowniczą funkcję w Ośrodku Doradztwa Rolniczego, a jego działalność nie ograniczała się do organizowania wystaw rolniczych. Teraz przychodzi mi na myśl dwie ważne wystawy, które wzbogaciły życie kulturalne Częstochowy. Były to: wystawa nieżyjącego już dziś profesora Ludwika Maciąga, świetnego koniarza i batalisty, i wystawa z Galerii Malarstwa Muzeum we Lwowie.

III Aleja żyje. Takie jarmarki mogłyby być częściej, nie tylko na jasnogórskie dożynki, na Wielkanoc i Boże Narodzenie. O potrzebie tego rodzaju imprez, nawiązujących do tradycji jarmarków, świadczy olbrzymia wprost frekwencja. Są miejsca idealne do takich celów, nie tylko Aleje. Rynek Wieluński – wręcz idealny na targi warzywne i kwiatowe, które się tu kiedyś odbywały, dopóki na pierwszą pielgrzymkę Papieża władze w ciągu jednej nocy nie wyasfaltowały historycznej nawierzchni kocich łbów. To piękna przestrzeń, po odsłonięciu dawnej nawierzchni, także na występy teatrów ulicznych, jarmarki sztuki – a nie na parking!

A ponadto, idąc za przykładem pradziadów sprzed stu lat, czemu by nie pomyśleć o tym, aby Częstochowa stała się – już na stałe – ośrodkiem wielkich międzynarodowych targów. Są odpowiednie tereny: za Jasną Górą lub w pobliżu Hut, lub inne, w posiadaniu gminy. Rzucam hasło: Międzynarodowe Targi Częstochowskie im. Stanisława Juchnika. Ładnie brzmi?



¹ W gruncie rzeczy jest to duży motyl – przyp. red.

MUZYKA

Joseph Haydn w Częstochowie

Elżbieta Hurnikowa

W bieżącym roku mija 200 lat od śmierci Josepha Haydna, jednego z najwybitniejszych kompozytorów, zaliczanego, obok Wolfganga Amadeusa Mozarta i Ludwiga van Beethovena, do trójki wielkich „wiedeńskich klasyków”.

Franz Joseph Haydn urodził się w roku 1732 w Rohrau w Burgenlandzie, w ubogiej rodzinie (był synem wozownika), zmarł w 1809 roku w Wiedniu, otoczony sławą. Jak podkreślają badacze twórczości Haydna, do historii muzyki przeszedł on dzięki różnorodnym dokonaniom: rozwinął podstawowe gatunki muzyki instrumentalnej (koncert, symfonia, sonata, kwartet), stworzył podstawy stylu klasycznego, który stał się obowiązujący w ówczesnej Europie. W życiu i twórczości kompozytora odzwierciedliły się przeobrażenia, jakim podlegała muzyka końca XVIII wieku: zanikał jej charakter związany z dworskim środowiskiem i mecenatem, zacieśniały się więzi z mieszczaństwem i pogłębiała się jej humanistyczna wymowa. Do największych osiągnięć Haydna należą kwartety smyczkowe powstające od roku 1781 oraz dzieła zainspirowane dwukrotnymi podróżami do Londynu (1791/92 i 1794/95): 12 symfonii „londyńskich”, oratoria „Stworzenie świata” (1798) i „Pory roku” (1801). W kompozycjach Haydna ujawnia się humor i dowcip, fascynacja ludowością i tańcami pod-



Fot. Leszek Piłichowski

wiedeńskich okolic oraz poczucie bliskiej więzi z naturą; stanowią one wyraz wyzwolonej duchowości, która zrodziła się na podłożu tendencji oświeceniowych i klasycznych ideałów humanizmu. Ilość i różnorodność gatunkowa dzieł Haydna jest zadziwiająca; stworzył 104 symfonie (w latach 1759-1795), 83 kwartety smyczkowe (1755-1802), liczne utwory fortepianowe (w tym 52 sonaty), koncerty, oratoria, opery, msze, pieśni i inne.

Haydn od roku 1761 do 1790 był kapelmistrzem książąt Esterházych w Eisenstadt, potem przebywał przeważnie w Wiedniu. Stolica Habsburgów od dawna szczyliła się wysoką kulturą muzyczną. Pielęgnowano tu wszelkie formy życia muzycznego, dzięki czemu miasto zyskało rangę austriackiej, a nawet eu-



Fot. Leszek Piłichowski

ropejskiej stolicy muzyki; do jego sławy przyczynili się znani kompozytorzy. William M. Johnston, badacz kultury obszaru naddunajskiego, pisze: „Po roku 1840 dzięki walcom Wiedeń stał się centrum najbardziej eleganckiej muzyki tanecznej świata, tak jak około roku 1800 dzieła Mozarta i Haydna zjednały wiedeńskiej muzyce symfonicznej uznanie Europy”. Twórczość Haydna, podobnie jak Mozarta, inspirowała późniejszych kompozytorów, np. Franza Schuberta czy Antona Brucknera; wiedeńscy klasycy stanowili wzory dla następnych pokoleń.

W tym roku ze szczególnym pietyzmem przypomina się życie i dzieło autora „Stworzenia świata”. Do wydarzeń kulturalnych upamiętniających Haydna należą nie tylko koncerty, ale i wystawy prezentujące jego biografie, środowisko, w jakim żył i tworzył, epokę, w której przyszedł mu działać, źródła inspiracji i oddziaływanie na innych twórców. Takim przedsięwzięciem była na przykład wystawa dokumentalna zainicjowana przez „Haydn Festspiele” w Eisenstadt: „Joseph Haydn – uniwersalny geniusz muzyczny”, pokazywana także w różnych miastach w Polsce.

W Częstochowie ważnym wydarzeniem muzycznym związanym z postacią Haydna stał się koncert zorganizowany przez chór „Collegium Cantorum Czestochoviensis” w dniu 7 czerwca w Kościele Matki Boskiej Częstochowskiej. Warto przypomnieć, jaką rolę odgrywa chór w życiu muzycznym Częstochowy. Założony został w 1987 roku przez Janusza Siadlaka, który od początku jest też jego dyrygentem (pełni również funkcję kierownika chóru w Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk”). W roku 1991 pieczę nad działalnością zespołu objęła Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Częstochowie, w latach 1996-2007 sprawowała ją Politechnika Częstochowska. Od roku 2008 działa w ramach Stowarzyszenia Sympatyków „Collegium Cantorum”, pieczę nad nim sprawuje samorząd miasta Częstochowy. Ze względu na znaczące osiągnięcia artystyczne, w ciągu swej wieloletniej działalności chór zdobył cenne nagrody w konkursach i na festiwalach w Polsce i za granicą. Koncertował w różnych krajach Europy, w Stanach Zjedno-

zonych, w Chinach, Argentynie, Urugwaju. Poziom artystyczny zespołu był zawsze wysoki, chociaż jego skład zmieniał się z biegiem czasu. Mocno związana jest z „Collegium Cantorum” niemal cała rodzina Siadlaków; od początku występuje w chórze Małgorzata Beata Siadlak (także jego menedżer), od niedawna również syn Ludwik.

Repertuar chóru jest bogaty i stanowi nie lada wyzwanie dla wykonawców. Obejmuje przede wszystkim muzykę poważną dawną i współczesną, w tym różnorodne jej gatunki (np. motety, chorał gregoriański), dzieła reprezentujące odmienne style i epoki,

prawykonania kompozytorów polskich (np. W. Łukaszewskiego, J. Łuciuka, E. Bogusławskiego) i inne. Propagowaniu różnego rodzaju dzieł muzycznych – w ich kulturowym kontekście – służy cykliczny charakter wielu przedsięwzięć. Dużą popularnością cieszyły się organizowane w latach 1997–2007 (raz w roku, jesienią) „Akademickie Spotkania Muzyczne”, podczas których zaprezentowano czestochowskiej publiczności takie utwory, jak „Carmina Burana” C. Orffa, „Porgy and Bess” G. Gershwina, „West Side Story” L. Bernsteina, „Msza Kreolska” A. Ramirez i inne. Koncert „John Lennon in memoriam” został uznany przez czytelników „Gazety Wyborczej” za najważniejsze „Wydarzenie Artystyczne Roku 2000”. W ubiegłym roku zapoczątkowano cykl pod nazwą „Muzyka w świątyniach”; jego idea jest zapoznanie publiczności nie tylko z dziełami muzycznymi, ale i z miejscami, w których koncerty się odbywają. Pierwszy odbył się w kościele św. Barbary, kolejne w innych świątyniach. W programie chóru są także spotkania muzyczne w kościołach poza Częstochową.

Koncert upamiętniający 200. rocznicę śmierci Haydna rozpoczął nowy cykl – „Musica misteriosa”; następne koncerty, podobnie jak tegoroczny, odbywać się będą w czerwcu, raz w roku. Z bogatego dorobku kompozytora wybrano „Theresienmesse” – „Mszę Terezańską”. Msze, kompozycje wokalnie-instrumentalne związane z obrzędem religijnym, przeznaczane do wykonania w kościele, pisali najwybitniejsi twórcy: Johann Sebastian Bach, Wolfgang Amadeus Mozart,



Fot. Leszek Pilichowski

MUZYKA

Ludwig van Beethoven, Luigi Cherubini, Franz Schubert, Anton Bruckner, Franz Liszt, i inni. Wybór tego właśnie dzieła Haydna na otwarcie cyklu „Musica misteriosa” można więc uznać za nawiązanie do ważnych tradycji zarówno muzycznych, jak i liturgicznych.

Do udziału w koncercie zaproszono znakomitych gości – Wrocławską Orkiestrę Kameralną „Leopoldinum” oraz solistów z różnych ośrodków muzycznych. Na początku publiczność wysłuchała słowa wstępnego dyrektora Filharmonii Częstochowskiej, Beaty Młynarczyk, znanej ze swoich interesujących prelekcji dotyczących utworów muzycznych i sylwetek kompozytorów; tym razem wprowadziła ona słuchaczy w istotę tajemnicy związanej z muzyką. Koncert rozpoczął się „Trzema utworami w dawnym stylu” Henryka Mikołaja Góreckiego; już to wykonanie ukazało mistrzostwo Wrocławskiej Orkiestry, należącej do najlepszych orkiestr kameralnych w Europie. Wykonanie mszy Haydna uświetlili towarzyszący częstochowskiemu chórowi soliści: znana doskonale publiczności Katarzyna Suska (mezzosopran) – solistka Teatru Wielkiego Opery Narodowej w Warszawie; wielka niespodzianka dla melomanów – Anna Mikołajczyk-Niewiedział (sopran) – solistka Warszawskiej Opery Kameralnej; pochodzący z częstochowskiej, utalentowanej muzycznie rodziny Zbigniew Alexander Pinderak (tenor) – solista wiedeńskiej Volksoper; Dariusz Siedlik (baryton) – solista Staatstheater w Norymberdze. Dyrygował Janusz

Siadlak, panując, jak zwykle, nad całością przedsięwzięcia i nadając mu dużą rangę artystyczną. Dzięki wszystkim wykonawcom utworów Haydna objawił swój monumentalny charakter, a słuchacze mogli obcować z tajemnicą, jaka przenika każde wielkie dzieło.

W programie tegorocznym „Collegium Cantorum Czesztochoviensis” jest jeszcze jeden ważny koncert, który przypomni ponownie Haydna oraz upamiętni 250 rocznicę śmierci Georga Friedricha Händla. Koncert „Dwóch panów H.” odbędzie się 25 października w gmachu Urzędu Stanu Cywilnego.

Źródła: *Meyers Neues Lexikon*, VEB Bibliographisches Institut Leipzig 1973, t. 6, s. 174, t. 9, s. 318; William M. Johnston, *Österreichische Kultur- und Geistesgeschichte. Gesellschaft und Ideen im Donauraum 1848 bis 1938*, Böhlau Verlag, Wien – Köln – Weimar 1992, s. 138 i in.; Informator Austriackiego Forum Kultury, maj-sierpień 2009.

P.S. W moim artykule „Paryż poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”, opublikowanym w poprzednim numerze (74), w przytoczonym wierszu Pawlikowskiej „Samobójstwo” jest niewłaściwy układ wersów (spowodowany zapewne sposobem rozmieszczenia tekstu). Układ słów w wersie to jeden z ważnych składników utworu poetyckiego, toteż miłośników poezji Pawlikowskiej odsyłam do cytowanego wydania.



Trzej grzeczni chłopcy

Janusz Piernikarski

Na polskim rynku muzycznym objawiła się nowa supergrupa: The Goodboys. Zespół ma trzech liderów. Inicjatorem całego przedsięwzięcia jest Marek Jackowski – weteran estrady, gitarzysta i wokalista. Dawno temu współpracował z Markiem Grechutą w grupie Anawa, należał do zespołu Osjan, ale sławę zdobył przede wszystkim jako założyciel, gitarzysta i główny kompozytor Maanamu, a także pierwszy mąż Kory. Nagrał też dwie płyty solowe, które przeszły raczej bez echa; w każdym razie The Goodboys to nie jest, jak się czasem podaje, wokalny debiut Jackowskiego – przecież nawet z Maanamem gitarzysta wyłansował wielki przebój „Oprócz błękitnego nieba”.

Drugiego lidera, Janusza Yaniny Iwańskiego, raczej nie trzeba przedstawiać czytelnikom naszego pisma. Ten gitarzysta jazzowo-rockowy, lider częstochowskiej grupy Tie Break, współpracownik Stanisława Sojki i solista, od paru lat również grał z Maanamem. Właśnie w 2007 roku, gdy zespół zrobił sobie przerwę z powodu przeciagającej się choroby Kory, obaj panowie postanowili zrobić coś na własny rachunek. Dołączył do nich trzeci frontman, Gianni Dominici – z zawodu oficer straży morskiej, z zamiłowania śpiewak. Jackowski zapoznał się z jego sztuką wokalem w czasie pobytu na południu Włoch. Gdzieś w Kalabrii właścicielka gospody, w której się zatrzymał, odtworzyła mu płytę z nagraniem swego męża. Gitarzysta Maanam był pod tak wielkim wrażeniem, że wkrótce nawiązał z Dominicim współpracę.

Reszta składu? Na basie uczeń Yaniny, Marcin Lamch, znany z częstochowskiej sceny jazzowej oraz jako sideman. Instrumenty klawiszowe obsługuje Cezary Kaźmierczak, także członek Maanamu od czasu owej radykalnej zmiany składu, w której wyniku Ryszarda Olesńskiego zastąpił Yanina. Perkusję bije kolejny weteran, Andrzej Ryszka, znany i z Tie Breaku, i ze śląskiego jazzrockowego Krzaka. Skład uzupełnia Zuzanna Iwańska, altwiołistka z Krakowa, na naszym podwórku znana ze współpracy z Habakukiem.

Co grają The Goodboys? Mamy do czynienia z łagodnym, „radiowym” rockiem o wyrazistych melodiach (profil grupy na Facebooku zawiera nawet żartobliwe określenie „big beat”), a jazzowe doświadczenie muzyków gwarantuje wysoki poziom

warsztatowy. Kto pamięta i łagodniejsze z przebojów Maanamu, i hit Yaniny „Wielkie podzielenie”, nie będzie się czuł obco.

Muzycy weszli do studia jeszcze w 2007 roku. Było to częstochowskie studio „Radioaktywni”, a realizatorem był Adam Celiński. Drobne poprawki zostały dodane w domowym studiu Yaniny. Wydanie płyty, pod roboczym tytułem „15 piosenek o miłości”, zespół planował na Walentynki 2008, ale praca nad nową muzyką, a także problemy zdrowotne Jackowskiego, zawieszenie działalności Maanamu i inne okoliczności spowodowały, że album, który ostatecznie otrzyma tytuł „O.K.!", był zapowiadany na wrzesień 2009; jak dotąd, do naszej redakcji jeszcze nie trafił, więc dysponujemy tylko wiadomościami z etapu przygotowywania.

Zgodnie z tytułem roboczym, powstało 15 utworów: każdy z trzech solistów śpiewa po pięć. Muzycy podzielili się też zadaniami kompozytorskimi. Dominici ma śpiewać oczywiście nie po polsku: 4 utwory w języku włoskim, plus „Homburg” z repertuaru Procol Harum. Część tekstów dostarczyła Kora, wykorzystano też wiersz E.E. Cummingsa (znanego również jako e.e. cummings).

Powstawanie płyty zajęło sporo czasu, ale Grzeczni Chłopcy nie zanieśli działalności na innych polach. Od maja rozpoczęła się promocja singlowa. Mała płyta „Kochaj mnie i daj mi siebie” / „Motyli noc” / „Il sole che vorrei” prezentuje możliwości wszystkich trzech solistów. „Motyli noc”, skomponowana i śpiewana przez Yaninę, przez szereg tygodni utrzymywała się na liście przebojów polonijnego Wietrznego Radia z Chicago. Z kolei na 46 Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu grupa zaprezentowała „Kochaj mnie i daj mi siebie” w koncercie Premier, a na koncercie Duetów Jackowski zaprezentował swój największy przebój („Oprócz błękitnego nieba”) wspólnie z Katarzyną Cerekwicką.

Czy The Goodboys odniosą sukces na polskiej scenie muzycznej? Trudno powiedzieć. Obecność w naszych stacjach radiowych rozmaitej sieczki nie rokuje zbyt dobrze zespołowi Yaniny i Jackowskiego. Na szczęście przykład Wietrznego Radia pokazuje, że wszystko jest możliwe. A co z tego wynika dla nas, częstochowian? 11 lat temu lokalna prasa pisała o trójmiejsko-szczecińskiej formacji 3 Metry, że to „częstochowski zespół”, bo mieli basistę z naszego miasta. Tymczasem w The Goodboys gra nie tylko Yanina, ale i drugi częstochowianin (Marcin Lamch), możemy się więc chwalić, że mamy „częstochowską supergrupe”. I wszystko wskazuje na to, że będzie się czym chwalić.

Nadchodzą lata chude?

11 września odbyło się nadzwyczajne Walne Zebranie Członków Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie.

Wybrano nowy Zarząd w następującym składzie:

SZYMON PARAFINIAK - prezes
PIOTR DŁUBAK - wiceprezes
JACEK ŁYDZBA - wiceprezes
WŁODZIMIERZ KARANKIEWICZ - sekretarz
MAŁGORZATA STEPNIAK - skarbnik
JANUSZ YANINA IWANSKI – członek Zarządu
PIOTR KANIECKI – członek Zarządu



Szymon Parafiniak

Zanim do tego doszło, członkowie Zachęty otrzymali wielce charakterystyczny e-mail pt. do depozytariuszy mojego dzieła (zachowujemy pisownię oryginalną):

09.09.009 częstochowa

Członkowie Zachęty

1. wszystkich was ja skrzyknąłem
2. 5 lat prowadziłem całość
3. 2 lata konduktorównię którą wywalczyłem
4. nigdy nie brakowało na rachunki

5. zaopatrzyłem konduktorównię w ścianki, meble , sprzęt

6. konstruowałem i realizowałem program, www., kolekcję

7. zapewniłem czystość, recepcję, ochronę, serwisy z waszej strony mogłem liczyć jedynie na podpisy, o innych rzeczach już było wałkowane **chyba jakoś uznacie to:**

1. poprzez godziwą odprawę
2. uregulowanie kilkutyśięcznego zadłużenia Zachęty u mnie
3. przyznanie nagrody
4. ufundowanie tablicy pamiątkowej
5. grzeczny i z szacunkiem odnoszeniem się do mnie...

Piotr Głowacki prezes Zachęty w Częstochowie w latach 2004 (28 października) – 2009 (22 lipca)



Piotr Głowacki

Pierwszy rzut oka na prezesów Zachęty, aktualnego i minionego, może sugerować, że tuście lata Stowarzyszenia już przeszły, a zaczynają się lata chude i biedne. Trudno być prorokiem we własnym mieście, zwłaszcza, że nigdy nie tracimy nadziei. Czego Wszystkim życzymy.

(mpr)

Miłość do polityki

Janusz Piernikarski

Pierwsza premiera w nowym sezonie Teatru im. Adama Mickiewicza to „Miłość i polityka” Pierre’a Sauvila. Kolejną farsę, po niedawnym „Jeszcze jeden do puli?!”. Raya Cooneya i Tony’ego Hiltona, wyreżyserował Jerzy Bończak. Nie jest to zresztą jego pierwsze podejście do „Miłości i polityki” – wcześniej przygotował jej polską prapremierę w Kielcach.

Francuz Sauvil jest, podobnie jak Cooney, zawodowym farsopisarzem, można więc było oczekiwać pierwszorzędnej rozrywki. Rzeczywiście, Bończak i częstochwycy aktorzy nie sprawili zawodu.

O co chodzi? Zgodnie z tytułem, o miłość (bardziej przyziemnie, o seks) i o politykę (bardziej przyziemnie, o pieniądze). Głównym bohaterem jest minister, do którego przychodzi kolega z partii, niejaki Bouladon. Tenże kolega chwali się tezką zawierającą kompromitujące materiały na temat naszego ministra. Nie ujawni jej, jeśli minister wyśle na tydzień swą żonę wraz z nim na Gwadelupę. Małżonka ministra jest zaś wierna mężowi i z własnej woli nie oddałaby się jego partyjnemu koledze. W obliczu groźby złamania kariery, mąż stanu stara się znaleźć wyjście z sytuacji. Z jednej strony próbuje negocjować z żoną i kolegą, a z drugiej – wzywa na pomoc Agathe, byłą agentkę wywiadu, która jednak za swe usługi żąda zapłaty „w naturze”...

W programie napisali, że jest to „komedia, którą pomimo francuskiego rodowodu nietrudno przenieść na grunt polskich realiów”. Na szczęście nie takiego nie uczyniono i bohaterowie nadal noszą francuskie nazwiska, zaś w dialogach pojawiają się na ogół aluzje do francuskiej rzeczywistości. Inna sprawa, że polityka i miłość wszędzie wyglądają mniej więcej podobnie, więc nie natrafiamy na barierę kulturową. Istnieją nawet paralele między Francją a Polską (choć jaż my nie mamy Gwadelupy), ale zmniejszenie w ostatnich latach aktywności pewnego osobnika w kolorowym krawacie sprawiło, że chyba nie cała widownia „złapała” ironiczną wypowiedź ministra o spokojnym życiu rolnika.

„Miłość i polityka” to sztuka na pięciorgo aktorów. Sam reżyser, Jerzy Bończak, wcielił się w postać Bouladona. Trzeba przyznać, że w postaciach drobnych drani i aferzystów jest on pierwszorzędny. Równie pozytywnie odebrałem Piotra Machalicę w roli ministra. Jego emploi człowieka zajętego i zmęczonego doskonale sprawdziło się w tej roli. Minister w ciągu swej kariery sporo nagrzeszył, odkładając sobie pew-

ną sumę to tu, to tam, ale widz odczuwa sympatię do faceta, który po prostu chce mieć święty spokój, a tu ciągle ktoś go nachodzi i wysuwa takie lub inne żądania.

Najsłabszym ogniwem spektaklu była niewątpliwie Joanna Liszowska, która z uwagi na znane nazwisko miała być zapewne jego okrętem flagowym. Gra ona Pauline, ową piękną i wierną żonę ministra, ale... no właśnie, nie gra najlepiej. Już mniejsza o to, że w jej interpretacji Pauline jest strasznie wręcz głupia (a można by tę rolę pociągnąć w kierunku kobiety nie głupiej, lecz po prostu – w swojej dobroci niewyobrażalnie naiwnej); podstawowy kłopot jest taki, że Liszowska nie wypowiada swych kwestii z naturalną intonacją! Zwraca uwagę scena rozmowy telefonicznej z Bouladonem, przerażającej się w sekstelefon. Nie wiem, czy to dobrze dla artystki, gdy tego rodzaju scena należy do najbardziej sugestywnych z całej roli. Z czasem jednak widz się przyzwyczaja do takiej konwencji....

Michał Kula wystąpił jako Thibaut, sekretarz ministra: wręcz archetyp zasuszonego biurokraty, podkreślający na każdym kroku swój katolicyzm i chętnie popadający w przemowy z użyciem trudnych wyrazów. W rolę Agathe wcieliła się natomiast Agnieszka Łopacka, ostatnio jakby mało widoczna na naszej scenie. Nie zabrakło jej należytej drapieżności, która czyni z niej wręcz modliszkę, nekającą biednego ministra.

Za scenografię odpowiadał Stach Kulczyk. Na scenie widzimy salon w domu ministra: jedną ze ścian zdobi nawet portret jego samego, to znaczy portret Machalicy. Bouladon wkracza na scenę zwykle przez okno, za którym widać krzaki. Wykorzystanie tego ostatniego elementu wypadło bardzo ciekawie: z jednej strony krzaki budzą uzasadnione skojarzenia seksualne, a z drugiej – ich drzenie zapowiada nadejście nieproszonego gościa. W przedstawieniu wykorzystano także cień: niewidoczna ze sceny kuchnia oddzielona jest od salonu przepierzeniem z oknami, i na tle żaluzji obserwujemy zmagania Pauline z zupełnie jej obcą materią kulinarną. I nie tylko z nią. Kostiumy ministra i Thibauta są raczej standardowe, jak to u polityków: garnitury. Bończak prezentuje nieco krzykliwą kreację, zgodną z gagatkowskim szykiem. Pauline przechodzi w trakcie sztuki metamorfozę: zmiana sukni na krótszą, ogólnego wyglądu na bardziej zmysłowy. Jest to jak najbardziej zgodne z ogólną zmianą nastawienia bohaterki do sytuacji, w której przyszło jej się znaleźć.

Wspominany Ray Cooney stwierdził kiedyś, że intryga prawdziwej farsy powinna się opierać na sytuacji, która w gruncie rzeczy jest tragiczna. Tak jest i w przypadku „Miłości i polityki” Sauvila: gdyby bowiem poważnie spojrzeć na „stronę ideologiczną”, jest to również sztuka o wierności i kompromisie. Ale zakończmy „uczone” rozważania stwierdzeniem Alice’a Coopera, który powiedział, że ludzi tak

TEATR

naprawdę interesują trzy rzeczy: seks, śmierć i pieniądze. Drugiej z nich tu nie ma, bo to komedia; za to „Miłość i polityka” znakomicie sprawdza się jako sztuka o dwóch pozostałych.

Nasz zespół ma wyraźnie talent do repertuaru rozrywkowego, a Bończakowi już po raz drugi udało się wystawić w Częstochowie dobrą farsę (w sensie gatunkowym), która jednak nie stała się farsą (w sensie



organizacyjnym). Teatr Farsowy im. Adama Mickiewicza? Czemu nie...

Janusz Piernikarski

PS. W programie wypisane zostały niektóre, co ciekawsze kwestie poszczególnych postaci. W przypadku sztuki, której siła polega na błyskotliwych dialogach, taki zabieg można porównać do wyjawienia, kto zabił.

Fot. Piotr Dłubak



Bo historię tworzą ludzie

Piotr Nita

USC po godzinach. Nikt już tu nie pracuje. Słychać głos Mirosława Zwolińskiego – opowiada z wprawą. Zebrani wokół kolistego stołu członkowie Towarzystwa Genealogicznego Ziemi Częstochowskiej słuchają w skupieniu. Choć jest już grubo po 17:00, wciąż pojawiają się spóźnialscy, dostawia się krzesła, wymienia dyskretne przywitania. Autor ubarwia prelekcję licznymi anegdotami i ciekawostkami, bawiąc tym samym zebranych. Prezes Towarzystwa, Jacek Tomczyk, nie przerywa zaproszonemu ekspertowi – przytakuje mu i słucha.

Towarzystw zajmujących się genealogią funkcjonuje na terenie kraju wiele. Częstochowskie Towarzystwo na swojej stronie (<http://www.genealodzy.czystochowa.pl/>) podaje odnośniki do piętnastu. Okazuje się, że częstochowska grupa pasjonatów genealogii wyróżnia się spośród pozostałych grup m. in. tym, że swoje spotkania każdorazowo wzbogaca o wykłady, co jest rzadkością. Do tego stopnia przyczynia się to zwiększania popularności spotkań w USC, że ścigają na nie mieszkańcy innych rejonów Polski (prezes Tomczyk wymienia m. in. Łódź i Sosnowiec), a także osoby spoza granic kraju. Poszukiwania swoich korzeni, a także krewnych za pośrednictwem Towarzystwa prowadzą osoby stale mieszkające w Stanach Zjednoczonych, we Francji czy w Niemczech, które bywają na spotkaniach i prowadzą z Towarzystwem ożywioną korespondencję.

Praca, jaką na co dzień wykonują członkowie Towarzystwa, w wielu aspektach przypomina wysiłki śledcze – tropienie materiałów po rozsznycanych niejednokrotnie po całym kraju archiwach państwowych, kościelnych, prywatnych, częstokroć zarządzanych na sposób nieprzychylny badaczom-amatorom. Prezes zapewnia, że szlaki współpracy z wieloma instytucjami zostały już przetarte. Pierwsze dobre wrażenie, jakie zrobiła grupa założycieli (Jacek Tomczyk, Juliusz Sętowski, Andrzej Kuśnierczyk, Piotr Gerasch, Szymon Gruca) stworzyło pozytywny wizerunek Towarzystwa, dzięki czemu nowi członkowie mogą dziś liczyć na większą przychylność władz wielu podmiotów.

Bardzo silnie w łonie Towarzystwa postuluje się postępowanie z materiałami archiwalnymi w myśl zasad naukowości. Prezes namawia do przestrzegania metodologii badawczej, przytaczania materiałów źródłowych, troski o dokumentowanie poszu-

kiwań etc. Organizowane są też spotkania z ekspertami, poświęcone np. odpowiedniemu przechowywaniu materiałów, by nie niszczały (odpowiedź na pytanie: czy pod folią, czy też nie, okazuje się nie tak oczywista). Jak widać, członkowie Towarzystwa starają się wszechstronnie przygotowywać do swojej pracy.

Każdego z nich do poszukiwań popchnęły osobiste pobudki, bo zainteresowanie własną historią rodzinną. Zaspokajając w pewnym momencie ciekawość, a już łapiąc bakcyła archiwalnej detektywistyki, obierali sobie nowy cel i dążyli dalej. Wśród członków Towarzystwa panuje mozaika zawodów, błędne jest przekonanie, że to grono historyków. Jednak ich praca koresponduje z tym fachem i wymaga historycznego przygotowania.

Kolejnym postulatem spajającym Towarzystwo jest troska o przyszłość materiałów historycznych. Chowanie do szuflady takich materiałów uważa się za nietakt, tym bardziej ich komercjalizowanie, np. sprzedawanie ksiąg, zdjęć etc. Dokładne opracowanie materiałów i udostępnianie ich innym poszukiwaczom, instytucjom lub muzeom stanowi jeden z priorytetów prezesa i całego składu Towarzystwa. Przejawem takiego stanowiska jest współpraca z Muzeum Częstochowskim przy realizacji różnych projektów, np. przy wystawie „Częstochowanie - mieszkańcy miasta na fotografii w latach 1845-1918” (można było oglądać ją w budynku Ratusza do kwietnia 2009 r., w przygotowaniu druga część). Towarzystwo przekazało zestaw zdjęć ze swoich prywatnych archiwów, które posłużyły jako większa część ekspozycji tej wystawy.

Niebawem ma powstać I Rocznik Genealogiczny, czyli zbiór referatów i tekstów zebranych przez Towarzystwo.

Ścisłą współpracę Towarzystwo utrzymuje z Ośrodkiem Dokumentacji Dziejów Częstochowy Muzeum Częstochowskiego, stąd też lokalizacja spotkań – w sali w USC, obok lokalu Ośrodka.

Zbiorową zgrzyotą Towarzystwa jest sytuacja z częstochowskimi i nie tylko cmentarzami. Każdy genealog wie, że nekropolie to istne skarbnice informacji i nie trzeba podpaść prawu, by się tam znaleźć (jak ma to miejsce z zapiskami kryminalnymi – również cenne źródło informacji dla badacza). Cóż jednak z tego, gdy groby likwidowane są i wyprzedane przez zarządców cmentarzy, a świadectwo czasów bezpowrotnie znika. W świetle doświadczeń członków Towarzystwa sytuacja jest patowa – procesu nie da się zatrzymać, komercjalizacja nekropolii postępuje.

Ciekawym przykładem rozwiązania podobnego problemu poszczycić się mogą Amerykanie.

Oto na cmentarzu na nowojorskim Manhattanie, gdzie metr gruntu droższy jest od metra ziemi w Częstochowie (!) nikt nie myśli, by wyprzedzać usytuowaną tam nekropolię, a promuje się ją jako cenny zabytek.

Towarzystwo Genealogiczne Ziemi Częstochowskiej działa nieprzerwanie do marca 2007 roku. To wtedy panująca moda na genealogiczne wysiłki (panująca zresztą do dziś) nałożyła się czasowo na decyzję inicjatorów, by sformalizować działalność Towarzystwa. Zaowocowało to powstaniem grupy, której członkowie skutecznie wspierają się w rozwijaniu pasji. Regularne spotkania grupy cieszą się coraz większą popularnością. Kameralna w zamiśle „środa dla genealoga” (każda druga środa miesiąca) rozrosła się do spotkań 30 – 40, czasem 60 osób, które uparcie budują system wymiany bezcennych informacji o swojej historii i o historii regionu.



Jacek Tomczyk, prezes Tow.

Fot. Zbigniew Burda



Lasek Aniołowski w mojej pamięci

Sabina Chróstowska

Pamiętam tę rozległą przestrzeń, na której obecnie rozciąga się Lasek Aniołowski, z lat czterdziestych i późniejszych, kiedy nie było tam żadnego lasu, a tylko rozciągały się pola nie to pól, ni łąk, zwane przez okolicznych mieszkańców „zologami”. I nie wiadomo było, czyje one są. Za okupacji – wiadomo, niemieckie. Rozpościerały się od linii kolejowej obsadzonej krzewami morwy po koszarzy Aniołów, w których stacjonowały wojska niemieckie. Gdzieś dalej, na północny zachód, sięgały aż po Kiedrzyn.

W latach wojny nie chodziło się na „zologi”, terenu pilnowali uzbrojeni hitlerowcy. Niekiedy jednak, przed oktawą Bożego Ciała, szliśmy nad tory kolejowe, aby zerwać nieco macierzanki i rozchodnika na wianki. Styczeń 1945 był tragiczny dla Niemców, żołnierze radzieccy pruli ulicą Warszawską i nie szczydzili „giermancew”. Uciekali oni do siebie na Zachód, rozpierchli się też na zologach, wielu zaskoczyła tu śmierć. W lutym nasza Mama chciała skrócić sobie drogę z Aniołowa do Kiedrzyna, wyszła na zologi, ale polski wartownik zawrócił ją, bo tam jeszcze leżały trupy Niemców. Gdzie ich pochowano? Nie wiem.

TERENY NIEBEZPIECZNE. Tereny te były świadkiem tragicznych wydarzeń powojennych. Niemcy pozostawili w koszarach zapasy broni, amunicji, bomb. Kiedy nastąpiła wiosna 1945, obszarem tym zajęło się polskie wojsko, jednakże powojenny rozgardiasz trudny był do opanowania. Najbardziej ciekawi wszystkich byli chłopcy. Łazili, zbierali, coś znaleźli – rozkręcali, podpalali... Pamiętam dzień, kiedy mój szkolny kolega został rozszarpany na kawałki przy „majsterkowaniu”. Matka Zenka, nasza sąsiadka, odnajdywała na zologach kawałeczki ciała swego syna. Miał 13 lat.

Wreszcie zakazano wejścia na te tereny, pojawił się wartownik z karabinem. Już nie byliśmy tak odważni. Rozpoczęły się prace przy rozminowywaniu niemieckich składów amunicji. Dla nas, mieszkańców Kamienia, Aniołowa, Kul i części ulicy Warszawskiej, nastąpiły ponownie długie miesiące trwogi. Na słupach telegraficznych (były wtedy drewniane, buczące wewnątrz – czy ktoś je jeszcze pamięta?) rozwieszono obwieszczenia. – W dniu takim a takim, od godziny 12 do 15, obowiązuje zakaz wychodzenia na ulice, podwórka, łąki, do ogrodów. – Ale któż by

się do tego stosował? Chłopaki, oczywiście, znowu czekali na frajdę – coś się będzie dziać. A może nie-wypały gdzieś blisko wyrznie!

Ludzie po jakimś czasie uznali, że „przecież we mnie akurat nie musi trafić”. I tak kobiety zaczęły pielęgnować w ogródkach, dzieci pasły kozy na łąkach, a odłamki detonowanych bomb leciały nad naszymi głowami. Pamiętam pewne popołudnie. Z koleżanką Wiesią wracałyśmy ze szkoły, akcja rozminowywania jeszcze trwała. Odłamki padały coraz częściej, i to blisko nas. Byłyśmy w okolicach dzisiejszego wiaduktu, daleko jeszcze od domu, ogarnęła nas panika. Ale spostrzegłyśmy, że pędzi ku nam pan Stefan, nasz sąsiad, wpycha do rowu i nakrywa swoim ciałem. Tak przeleżeliśmy pół godziny. Ziemia ruszała się od padających odłamków. Nic nam się nie stało, a pan Stefan został bohaterem i ulubieńcem mojego taty. Wydarzyło się jednak nieszczęście. Dwunastoletnia Krysią szła ulicą, odłamek „zahaczył” o dziecko. Wprawdzie nie przebił ciała, ale oderwał jej kawałek piersi. Przez kilka miesięcy była leczona w szpitalu we Wrocławiu. Od tej pory rodzice ograniczyli nasze wychodnie z domu. Nie chodziliśmy do szkoły, kozy pozostawały w zagrodach. Rozminowywanie trwało jeszcze parę miesięcy.

Następne „zologowe” wspomnienia sięgają roku 1952. Byłam uczennicą X klasy LO im. J. Słowackiego. Mieliśmy przedmiot zwany Służba Polsce i w ramach owej służby trzeba było zaliczyć ćwiczenia z bronią. – „Pokoju musimy bronić z karabinem u nogi” – żartowaliśmy. Każdy miał oddać kilka strzałów z karabinu zwanego „kabekaes” na zologowej strzelnicy. Broń budziła w nas strach, w dodatku podobno „kopała”. U uszach mieliśmy jeszcze huk wojny, a tu powtórka tej niehumanitarnej nauki. Nie należałam do odważnych. Plakałam, ręce mi dygotały, uszy zapychałam watą, tato walerianą mnie uspokajał. Nadzorowali nas zawodowi wojskowi z koszar. Szczęśliwy traf chciał, że w naszym domu stacjonował przez jakiś czas porucznik Skwarek, wojak „z za Buga”. „Nu Sabka, połóż się, mocno przyciśnij, a ja obok ciebia wystreliu”. Tak się też stało. „Wystrzeliłam” trzy dziesiątki.

„Zologowe” przeżycia skończyły się po roku 1953, kiedy na długie lata opuściłam Częstochowę. Nieco później dowiedziałam się, że na owej strzelnicy wydarzyła się wielka tragedia – śmierć poniosła uczennica liceum.

ARKADIA I APTEKA. Od wiosny tereny te, obok aniołowskich łąk, stawały się dla nas, dzieci, arkadia. Tereny pagórkowate, nieco kamieniste, porośnięte były tu i ówdzie mchem, łopuchami, dzikim „rumbaremem”, który rwałimy na żupę i kompot. W początkach maja pojawiało się mnóstwo mło-

dziutkiej pokrzywy. Parzyła dłonie, ale była nader pożyteczna. „Najzdrowsza taka majowa – zachęcała nasza babcia. – Tego wam trzeba, żeby te stupy z kolan pozlazły”. Babcia służyła jako lek na bóle reumatyczne, my, dziewczęta, rozrabialiśmy liście na papkę i nakładaliśmy ją na włosy, podobno miały być wtedy gęściejsze. Babcia znajdowała tam też dla siebie „lebiodkę”, czyli lek na bóle jelitowe, bolącą szyję i ropiejące rany na stopach. Lebiodka miała fioletowo-różowe kwiaty, chłopci z braku tytoniu suszyli listki, kroili i palili jako machorkę. Skrzyp też miał swoje zalety: ubity tłuczkiem puszczał soki, które wcierałiśmy we włosy, żeby lepiej rosły. Łopuchów wszędzie było pełno, zbierało się je na trądzik, czyraki i zastrzał. Przyczepne „rzepy” służyły do zabawy, czyli do przyczepiania ich na złość koleżance do sukienki. Choć podłoże było przeważnie kamieniste, tu i ówdzie zakwitwały bledziutkie chabry. Zrywaliśmy płatki, wsypywaliśmy do butelek, zalewano się to przegotowaną wodą z łyżką cukru. Płyn musiał „nabierać” w słonecznym miejscu na parapacie. Po paru tygodniach miało powstać wino. Smaku tego napoju jakoś nie pamiętam, bo każdego roku „słabo naciągnęło”. Tu i ówdzie rosły kępki szczawiu, listek po listku wędrował do żołądka, zaś z resztek mama gotowała zupę, którą zaprawiała łyżką mąki. Macierzanka rosła na dobrze nasłonecznionych pagórkach. Pachniała od maja do września, obsypana małutkimi liśćmi i różowopurpurowymi kwiatami. Babcia suszyła ziele jako lek na zdęcia, złe trawienie, kaszel. Dzieciarnia płotła wianuszki, łącząc gałązki z rozchodnikiem, którego było pełno. Zbierało się też białe stokrotki i inne kwiatki na wianuszki lub do koszyczka, żeby sypać na Boże Ciało. Zołogi uderzały czerwienią maków. Pięknie, malarsko wyglądały te polacie. Maków używała babcia do farbowania owczej wełny, bukiety kwiatów stały na stołach.

Kiedy nastawał wrzesień, szliśmy gromadnie zbierać pieczarki. Było ich zatrzęsienie. Wracaliśmy z pełnymi koszykami i wszystkie rodziny jadły pieczarkową z kluskami, zaś na kolację pieczarki z blachy. Tuszczu nie było, więc w kapelusik sypało się żdziebko soli i piekło na rozgrzanych fajerkach piecyka. Gdy soczek puścił, sól się roztopiała i grzybek gotów był do spalaszowania. Świat natury urozmaicały skaczące zielone koniki polne, harujące mrówki i krety, które pozostawiały dziesiątki kopczyków. Śliczne były małutkie, zwinne, płowe polne myszki. Od czasu do czasu mignął spłoszony zając, złapać się go jednak nikomu nigdy nie udało.

Po paru dziesięcioleciach wszedłam w lasek, na obszar, z którym łączyło się tyle wspomnień o ludziach, wydarzeniach, miejscach. Ludzie odeszli, miejsca zmieniły się nie do poznania, tylko pamięć tego, co człowiek widział i czego doznał wcześniej – trwa. Z moich „zołogów” nie ostało się już nic z prastarego dzieciństwa i młodości. W pejzaż tak bardzo odmienny wkradła się rzeczywistość obecnych czasów: ścieżki, alejki, szpalery, wytyczone szlaki. Lifting XXI wieku. Lasek spełnia się we własnym przeznaczeniu. Po ścieżkach biegnących w mojej pamięci spacerują już inni ludzie, pchają wózki lub prowadzą rowerki z dziećmi, dla których LASEK ANIOŁOWSKI istnieje od zawsze!

Autorka, lat 74, romanistka. Publikowała w „Alejach”, „Świecie ciszy”, „Gazecie Wyborczej” i in.



Arkadiusz Zajac

FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

33 lata „gierkówki”

Janusz Mielczarek

Kiedy 1 czerwca 1975 roku Częstochowa stała się centrum jednego z 49 województw w Polsce, kadra administracyjna, którą dowodził wojewoda Mirosław Wierzbicki, otrzymała „w spadku” niedokończone inwestycje. Najważniejszą była budowa trasy E-16, obecnie DK-1, na którą środki pochodziły z tzw. puli centralnej. Problemem były inwestycje lokalne rozpoczęte na terenach, które po 1975 roku znalazły się na terenie Częstochowskiego: budowa szpitala w Oleśnie (kasa na to została w Opolskiem) i Dom Kombatanta w Lublińcu, na który finanse pozostały w Katowickiem. Starania podejmowane o pozyskiwanie pieniędzy na ich ukończenie śnią się do dzisiaj wielu urzędnikom ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie.

Wracając do budowy trasy szybkiego ruchu Warszawa – Katowice, nazwanej później Trasą Czynu Żołnierskiego, to w roku 1975 była ona już gotowa i przejezdna z Warszawy do Piotrkowa Trybunalskiego. Od strony południowej najlepiej sytuacja wyglądała w pobliżu Katowic. Choć ruch samochodowy był nieporównywalny z obecnym, to na przykład, jadąc w maju 1976 roku z Warszawy, od Piotrkowa do Częstochowy na starej drodze samochody posuwały się „gęśiego” w obu kierunkach, praktycznie bez szansy na wyprzedzenie.

Ponieważ przedsięwzięcie miało skalę niespotykaną w Częstochowie, a także wówczas w Polsce (m.in. na odcinku częstochowskim zbudowano 17 obiektów mostowych i estakadę), nie było tygodnia, żeby budowy nie wizytowali ważni ludzie z Warszawy. Najczęściej przyjeżdżał ówczesny wicepremier Karkoszka.

Godzina „0” nastąpiła 11 października 1976 roku. Edwarda Gierka, który przyjechał od strony Katowic, na granicy województwa w okolicy Kokotki witali (taki był zwyczaj) sekretarz partii i wojewoda.

Następnie Edward Gierek spotkał się z Egzekutywą KW PZPR w Częstochowie, po czym wszyscy udali się na główne uroczystości, odbywające się w najwyższej części estakady. Po meldunkach i przemówieniach, podchodząc do przecięcia symbolicznej wstęgi, przeciągniętej w dole estakady od strony północnej, Edward Gierek, zwracając się do premiera Jaroszewicza, zaproponował, aby wstęgi przecięli budowniczo wie trasy – żołnierze. Po małym zamieszaniu tak się stało, co widać na fotografii.

Kiedy w połowie lat 90. wojewoda C. M. Graj abiegał o środki na remont częstochowskiego odcinka DK-1, byli tacy, którzy uważali, że nie warto tego robić, gdyż wkrótce główny ruch przeniesie się na autostradową obwodnicę miasta. Blisko piętnaście lat minęło, a autostrada wciąż jest tylko na papierze.



Fot. Janusz Mielczarek



Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Mstowie

Aleksander Jaśkiewicz
Muzeum Częstochowskie

Położony jedenaście kilometrów na wschód od Częstochowy, Mstów to miejscowość szczególna, zarówno pod względem wyjątkowo pięknego usytuowania na jednym z kilku jurajskich wzgórz w pobliżu Warty, jak i z racji nieczęstej historii, jaką ta miejscowość może się poszczycić. O tej drugiej mówią nam najstarsze źródła pisane, a po części również zachowane czy w przeszłości tu występujące zabytki, nie wyłączając czytelnego po dziś dzień średniowiecznego układu urbanistycznego. Ponieważ nie o wszystkich tych obiektach będziemy mogli powiedzieć jednocześnie, skoncentrujemy się na razie na jednym z najbardziej znaczących – na kościele i po części klasztorze kanoników regularnych, pokrótce przybliżając również historię miejscowości.

Najstarsza wzmianka o Mstowie, należącym wówczas do kanoników regularnych we Wrocławiu na Piasku, pochodzi z 1193 r. W XII i XIII w. był on ważnym ośrodkiem politycznym i kościelnym w północno-wschodniej Małopolsce. Pod względem administracyjnym wcześniej pełnił funkcję opola, do którego wśród różnych miejscowości nad Wartą należała również Częstochowa. W parze z tym szedł także pomyślny rozwój osady, która w 1278 r. otrzymała prawa miejskie, zachowując je do roku 1870. Najpo-



Ks. Andrzej Strzembosz. Wizerunek z obrazu w kościele św. Otylii w Rędzinach



Widoki Mstowa zamieszczone w piśmie „Kłosy” (1876)

myślniej Mstów rozwijał się do XVI w. Duży udział w tym mieli miejscowi zakonnicy. Do szczególnie wyróżniających się należał ks. Andrzej Strzembosz, prepozyt klasztoru (1599-1640), dbający m.in. o rozwój miejscowego rzemiosła, fundator parafii św. Otylii w Rędzinach.

O pierwszym kościele i klasztorze kanoników regularnych laterańskich w Mstowie (dokładniej Wancerczowie) nie mamy wiele wiadomości. Niektórzy przyjmują, że murowany kościół wzniesiono w końcu XII w. i przypuszczalnie konsekrowano go w 1212 r. z okazji odbywającego się tu synodu biskupów. Murowane z kamienia zabudowania kościelno-klasztorne w Mstowie opisał Jan Długosz w *Liber Beneficiorum dioecesis cracoviensis*, III. W 1441 r. arcybiskup gnieźnieński Wincenty Kot na synodzie w Łęczycy podniósł kościół mstowski do rangi kolegiaty, nadając jej wezwanie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Augustyna. W 1566 r. pożar zniszczył kościół i klasztor, po czym odbudował je bardzo przedsięwzięty miejscowy prepozyt, wspomniany Andrzej Strzembosz. Kolejny pożar w 1702 r. sprawił, że świątynia musiała się znajdować w złym stanie, skoro w 1718 r. kanonicy zdecydowali się na jej rozbiorę i budowę nowego kościoła. Dzieło to podjął prepozyt mstowski ks. Jan Władysław Zakrzewski. Świątynię zaczęto wznosić od fundamentów, wykorzystując być może pewne partie fundamentów wcześniejszego

OKOLICE



OKOLICE



Fot. Leszek
Pilichowski





Fot. Leszek Piłchowski

(romańskiego) założenia, znacznie je jednak rozszerzając. Należy przy tym zaznaczyć, że z a c h o w a n o zasadę orientacji kościoła, dzięki czemu jego prezbiterium zwrócone jest na wschód.

W momencie, kiedy świątynia była już na ukończeniu, w 1738 r. doszło do katastrofy budowlanej. Runęły dwapopłudniowe filary we wnętrzu, na skutek czego poważnie zostało uszko-

dzone sklepienie i więźba dachowa. Zniszczeniu uległy też niektóre elementy wyposażenia (oltarze). Dość szybko przystąpiono do odbudowy, którą ukończono w 1746 r., a dwa lata później kościół konsekrowano pod dotychczasowym wezwaniem.

Później jeszcze kilkakrotnie świątynia była niszczona w mniejszym lub większym stopniu, m.in. przez kolejne pożary, przy czym każdorazowo doprowadzano ją do należytego stanu. Czasem przy tej okazji wprowadzano dodatkowe elementy (m.in. podwyższono wieże), by następnie przywrócić jej pierwotny kształt.

W 1819 r., po kasacie klasztoru, administrację kościoła przejęła parafia rzymskokatolicka i wkrótce przeprowadzono gruntowny remont świątyni. Kanonicy wrócili do Mstowa w 1990 r.

Kościół w obecnej postaci jest budowlą osiemnastowieczną, późnobarokową, o mocno zapóźnionych formach stylowych. Jego budowniczy nie jest znany. Świątynia posiada trójnawowy korpus z transeptem i prezbiterium zamkniętym ścianą prostą. W elewacji frontowej ma dwie wieże zakryte pseudobarokowymi hełmami, nawiązującymi do wcześniejszych, sprzed przebudowy ok. 1900 r.

W części północnej, na wysokości prezbiterium i transeptu, z kościołem łączy się trójskrzydłowy, wzniesiony na planie nieregularnym klasztor, kryjący gotyckie elementy architektoniczne (m.in. portal z XVI w.).

We wnętrzu kościoła, nakrytym sklepieniem kolebkowym z lunetami, niższe nawy boczne od głównej oddzielają półkolisty arkady, których filary urozmaicają zdwojone pilastry. Powyżej biegnie wyłamujące się nad pilastrami belkowanie. Na sklepieniu odpowiednikiem pilastrów filarowych są zdwojone gury.

Fasada z trójkątnym szczytem ma trzy kondygnacje oddzielone za pomocą belkowania, akcentującego jej horyzontalizm. Poza tym jest stosunkowo płaska, pozbawiona dynamizmu. Występujące elementy architektonicznego podziału fasady na przeszła przyporządkowane są podziałowi wnętrza na trzy nawy.

Elewacje boczne świątyni również są potraktowane płasko. Jedynymi jej elementami architektonicznymi są pilastry, lizeny i gzymsy. Pod tym względem bardziej oryginalnym rozwiązaniem wyróżnia się południowa ściana transeptu, która pierwotnie spełniała funkcję drugiej fasady (bez otworu wejściowego). Widok na nią otwierał się po przekroczeniu głównej kiedyś bramy-dzwonicy, znajdującej się w południowej części obwarowań klasztornych. Te ostatnie, do których należy osiem baszt, nadają obronny charakter zespołowi kościelno-klasztornemu. Nasuwa się tylko pytanie, na ile faktycznie spełniał on taką funkcję. Czas realizacji obwarowań nie jest dokładnie znany, przypuszcza się jednak, że pochodzą one z XVI, a najpóźniej z pierwszej połowy XVII w., czyli z okresu, kiedy wchodziły w życie nowe rozwiązania, natomiast takie, jak mstowskie, traciły stopniowo znaczenie obronne.

W 1998 r. ukazał się artykuł poświęcony kościołowi w Mstowie. Jego autor Paweł Dettloff dał pełną charakterystykę obiektu, wskazując na związki łączące go z innymi tego typu zabytkami. W opracowaniu tym czytamy m.in.: „Kościół kanoników regularnych w Mstowie reprezentuje tradycyjny nurt polskiej architektury pierwszej połowy XVIII w. W większości opiera się na rozwiązaniach wykształconych w stulecie poprzednim, szczególnie w jego drugiej połowie. (...) nosi w sobie także cechy regionalne, charakterystyczne jest bowiem dla niego zastosowanie i wykorzystanie motywów zaczerpniętych ze znaczniejszych świątyni pobliskiego regionu (Częstochowa, Gidle, Kraków)”. W przypadku Częstochowy chodzi o zespół klasztorny na Jasnej Górze.

Wspominany autor, Paweł Dettloff, ustosunkował się też do wcześniejszych sugestii niektórych historyków sztuki, skłonnych przyjąć, że istniejąca świątynia została zbudowana na fundamentach kościoła romańskiego. Tezie tej, zdaniem Dettloffa, zdają się przeczyć rozmiary naszej świątyni, która w romanice nie mogła być tak okazałą budowlą. Reprezentowa-

ny przez nią typ rozplanowania, choć przypomina rozwiązania romańskie, to w XVII i XVIII w. nie należał wcale do rzadkości, o czym świadczą odpowiednie przykłady (m.in. kościół św. Anny w Krakowie).

Na zakończenie krótko wypada wspomnieć jeszcze o wyposażeniu świątyni. W znacznej mierze pochodzi ono z czasu działalności prepozyta mstowskiego Augustyna Kozierowskiego (1750-1791). Na pierwsze miejsce wysuwa się jedenaście ołtarzy późnobarokowych i rokokowych. Trzy z nich to ołtarz główny w prezbiterium i dwa boczne w ramionach transeptu, największe rozmiarami. Pierwszy z nich wzorowany jest na ołtarzu głównym bazyliki jasnogórskiej, natomiast w południowym ramieniu transeptu znajduje się ołtarz ze słynącym łaskami obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej z XVII w. To do niego zapewne w 1731 r. ofiarował srebrne wotum częstochowski złotnik Andrzej Kapryni.

Pozostałe ołtarze wznoszą się przy tęczy, dwóch filarach międzynawowych i w nawach bocznych. Dwa z nich to tzw. ołtarze iluzjonistyczne, których architektura i rzeźby namalowane są na deskach.

Nie mniej cenne artystycznie są elementy wyposażenia: stalle kanonickie, tron opacki, sześć konfesonaliów – wszystkie zdobione intarsją, a ponadto ambona, chór muzyczny i prospekt organowy.

Wśród licznych obrazów warto zwrócić uwagę na siedemnastowieczne przedstawienie biskupa krakowskiego Iwo Odrowąża, nadającego przywilej (25 XII 1220) kanonikom regularnym. W dolnej partii obrazu oglądamy dawny widok klasztoru mstowskiego.

Ciekawymi przykładami rzeźby późnobarokowej są m.in. posągi ołtarzowe świętych oraz rokokowa dekoracja snycerska niektórych ołtarzy.

Do wyposażenia świątyni należą też barokowe wyroby złotnicze, a wśród nich monstrancja z 1732 r., fundacji prepozyta mstowskiego Jana W. Zakrzewskiego.

Artystyczne tkactwo reprezentuje kilka ornatów z XVIII i XIX w.

Omówiony tu krótko zespół zabytkowy oraz niezwykle interesująca historia dawnego Mstowa stanowią szczególną kartę w dziejach bliskiej nam ziemi. Warto o tym pamiętać podczas naszych wędrówek krajoznawczych.

Aleksander Jaśkiewicz



Fot. Leszek Piłichowski

Literatura

P. Dettloff, *Kościół kanoników regularnych laterańskich*, „Kwartalnik architektury i urbanistyki” t. 43, 1998, z. 4, s. 291-306

H. Hoheśec-Ciszewska, *Przypuszczenia o romańskich założeniach kościołów w Mstowie i Kłobucku*, „Biuletyn historii sztuki” t. 27, 1965, z. 2, s. 160-162

Katalog zabytków sztuki w Polsce, t.6, Województwo katowickie, z.4, Dawny powiat częstochowski, red. I. Rejduch-Samkowa i J. Samek, oprac. P. Maliszewski i A. Małkiewicz oraz I. Rejduch-Samkowa i J. Samek

K. Łatak CRL, *Mstów. Obraz Matki Boskiej Mstowskiej i jego kult*, Kraków 1999, s.44.



Fot. Leszek Piłichowski

Na mstowskim wzgórzu, z którego rozciąga się rozległy widok na otoczone murami i wysokimi drzewami kościoł w Wancerzowie i na całą okolicę, unikatowy zespół starych, wapienno-drewnianych, krytych strzechą stodoł tak świetnie wpisał się w jurajski krajobraz. Kiedyś była to jedna z atrakcji Mstowa: chwalono się stodołami na planszy, ustawionej na rynku. Od lat nikt się nimi nie zajmuje. Kolejne ekipy władz gminy nic nie robiły dla ich zachowania. Może obecne władze, we współpracy z powiatem, województwem, służbami konserwatorskimi, zechcą przed wyborami uczynić coś, co zapewni im trwałe i chwalebne miejsce w historii. Uratowanie dla przyszłości tego cennego tak charakterystycznego zabytku ludowego budownictwa, byłoby wielką zasługą dla kultury regionu i Polski. Utworzenie tu skansenu budownictwa ludowego, zebranie w nim tych ostatnich resztek, które się na Jurze zachowały, albo choćby adaptacja na zajazd czy coś w tym rodzaju – każdy sposób dobry, byle tylko uratować to, co zostało, a odtworzyć to, co już zniszczono. Byłaby to wielka atrakcja turystyczna.

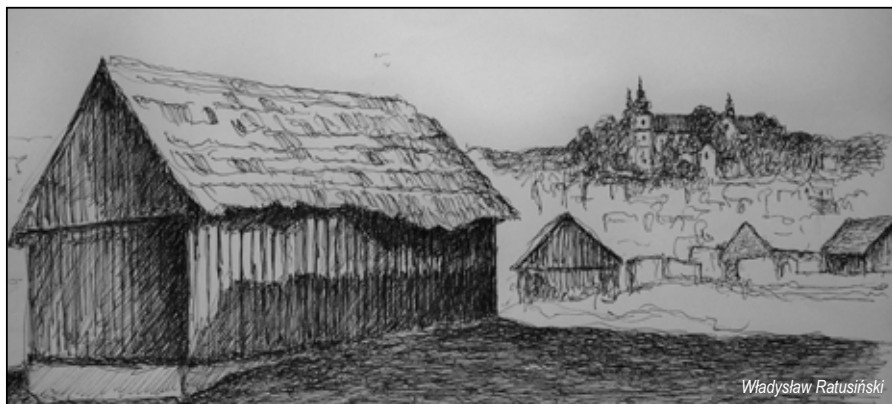
Jeden z kolegów ze środowiska artystycznego deklaruwał kiedyś, że chętnie zająłby się taką stodołą, wyremontował ją, zaadaptował do swoich potrzeb, gdyby mu została udostępniona. Gdyby znalazł naśladowców, mogłaby powstać prawdziwa kolonia artystyczna. Ale przede wszystkim musiałyby być zainteresowane miejscowe władze i sami mieszkańcy. To, co jest dotąd, niezwracanie uwagi na to, co cen-

ne, dopuszczanie do stanu ruiny, pozbywanie się, wystawia lokalnej społeczności jak najgorsze świadectwo. A przecież teraz są fundusze unijne, z których na program ratowania zabytkowych stodoł z pewnością można by skorzystać.

W internecie można znaleźć smutne wiadomości o stodołach mstowskich. Żeby w wolnej Polsce spotkał je taki sam los, jak za PRL-u dwa wspinała zespoły stodoł w Olsztynie, to wprost nie do pojęcia. „Chore miasteczko” – podsumowuje internauta. Na kpiny zakrawają w tej sytuacji wiadomości prasowe o ambitnych planach kulturalnych władz gminy. Spychacze bezpowrotnie zniszczą charakter jurajskiego miejsca ze starymi malowniczymi domostwami, źródłkami u stóp „Skąły Miłości”. Choćby to miał być teren na plenerowe przedstawienia oper. Jakoś zrehabilitować mogłyby się władze, tworząc właśnie na miejscu stodoł (pięćdziesięciu!) skansen, do którego przenoszono by z Jury zachowane jeszcze obiekty budownictwa ludowego. Tam też mogłyby być odbudowane chociaż niektóre stodoły.

Mstowskie uliczki od lat pociągały mnie swoją atmosferą, jako jedne z najpiękniejszych na Jurze, bo zachowały charakter miasteczkowych domków, jeszcze z akwarel Masłowskiego. Brama jednego z domów przy rynku zachowała piękną, oryginalną nawierzchnię z dużych kamieni. Również przy rynku działała restauracja, z dużym węglowym piecem kuchennym i świetnymi daniami po przystępnych cenach. Jak jest teraz? Jak będzie?

Dość dawno nie byłem we Mstowie. Nie chcę się narażać na widok dziury w pejzażu, jaka zostanie po stodołach. Ciekawe, czy jeszcze są końskie targe w pobliskiej Cegielni, bo z zabytkowych



Władysław Ratusiński

ziemnych piwniczek, tak charakterystycznych dla tego miejsca, też niewiele zostało. Tym bardziej zasługują na ochronę. A nowsze elementy, które zaczęły wzbogacać tutejszy krajobraz i nie powinny ulec zniszczeniu – to wielkie rzeźby plenerowe z pni świętych topól.

Chwałę Mstowowi przynosi natomiast fakt, że znalazł tu miejsce, w domku przy jednej z uliczek, ośrodek dla uzależnionych od narkotyków „Betania”, założony przez biskupa Długosza. W klasztorze zaś kanoników regularnych mieszkał jakiś czas temu Jerzy Hajduga, interesujący poeta-zakonnik, autor tomików poetyckich.

W pięknych zabytkowych wnętrzach klasztornych (czy przypadkiem ich nie przebudowano od tamtej pory?) spotykali się malarze z kraju i zagranicy, uczęszczając w mstowskim plenerze. W mstowskiej szkole uczy zresztą świetny malarz, Piotr Kosiński z Częstochowy. W bogatym, starannie odrestaurowanym wnętrzu kościoła odbywają się od czasu do czasu koncerty, nawet przedstawienia operowe (ostatnio 6 września – „Nabucco” Verdiego).

Czczony jest tu obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, pod tytułem Matki Bożej Mstowskiej Miłosierdzia, kopia ikony jasnogórskiej, ukoronowany przez abp. Stanisława Nowaka w 2000 r. Żywy jest też kult św. Walentego. Z dwudziestowiecznych proboszczów wspomnijmy przynajmniej ks. Michała Maniewskiego, który podniósł kościół z ruin I wojny światowej – i ostatniego proboszcza diecezjalnego, ks. Stanisława Boreckiego. Obecnie proboszczem jest ks. Wiesław Martuszewski CRL.

Co roku w sierpniu Mstów i Wancerzów wita przechodzących i nocujących tam pielgrzymów. Przy źródłach na zboczu i u stóp malowniczego wzgórza, w wigilię wejścia do Częstochowy, mają tu swoją mszę, pod przewodnictwem arcybiskupa częstochowskiego, pielgrzymi pieszej pielgrzymki warszawskiej.

Władysław Ratusiński



Fot. Leszek Pilichowski

„Lusnok” - nowa książka Wojciecha Kopcińskiego

Między słowami panuje cisza

Katarzyna Nowaczyk

„Nie piszę, to wszystko wylewa się ze mnie, by płynąć do Ciebie.” Tak mówi o sobie Lusnok, tytułowy bohater najnowszej książki Wojciecha Kopcińskiego.

Autor rezygnuje z prostego relacjonowania zdarzeń i od razu oddaje głos swojemu bohaterowi. Pozwala na to, by jego słowa płynęły własnym nurtem w jeszcze niezupełnie uregulowanym korycie myśli. Uzyskany efekt szerokości wyznania jest zdumiewający. Lusnok rozpoczyna bowiem bolesną wivisekcję, by zrzucić ciężący balast wspomnień i udreń z przeszłości. Walka okazuje się bardzo trudna...

Lusnok jest zniewolony miłością do Ennovi. Najpierw pragnie jej po ludzku, niezwykle silnie, całym sobą. Poznanie na wakacjach, spotkania, listy – oto początek miłosnego transu. Miłość ta szybko staje się odurzającą substancją, na skutek której działania Lusnok traci swe duchowe władze, możliwość moralnego reagowania i sądzenia. Ennovi nie potrafi tak kochać. Wszystko w niej wydaje się dużo bardziej uporządkowane, zrjonalizowane. Nie jest obojętna. Przeżywa, ale inaczej – mniej intensywnie, do czego zresztą sama się przyznaje i szczerze żałuje. Lusnok musi więc pogodzić się z jej utratą w sensie realnym, ludzkim, a w końcu i ostatecznym. Nigdy jednak nie zaakceptuje jej niebycia w wymiarze metafizycznym. Ennovi jest Aniołem, Marzeniem, Najwyższym Szczęściem, Myślą. Jej osobliwe istnienie w świadomości mężczyzny doprowadza do obłędu, a jednocześnie staje się jedynym pretekstem do życia, raz już zakwestionowanego, nieraz ponizonego. Lusnok narkotyzuje się wspomnieniami o niej. Na bezmiar tęsknoty brak słów, brak emocji, brak sił. Ukojenie może przynieść tylko metafizyczna komunია dusz, nieosiągalna jednak w wymiarze ludzkim.

Na początku Lusnok oczywiście próbował walczyć do utraty tchu, gniewać się, rozpacząć, przeżył moment grozy. Po jakimś czasie jednak doszedł do przekonania, że nie jest już w stanie reagować w ludzki sposób. Skala ludzkiego odczuwania ma przecież stany krańcowe, potem pozostaje już tylko... pustka. Zupełnie jak w instrumentie muzycznym, z którego można wydobyć najwyższy dźwięk i nieważne jak nieskazitelny i doskonały byłby w swym brzmieniu, po nim następuje już tylko cisza.

Gdzie szukać ukojenia?

Lusnok decyduje się na trudną podróż przez własne życie. Metafizyczna przestrzeń jest dla niego tchnieniem życia. Godzi się na trudne pytania, bolesne wspomnienia, obezwładniający ból myślenia o byłym i niebyłym. Chce oswoić własne istnienie, które uparcie zwraca się ku komuś innemu. Uważnie wstuchuje się w ciszę. Ukamienowanie pamięci wspomnieniami, ich bezlitosne przywoływanie i przefiltrowanie prowadzi w końcu do wyzwolenia – zniewolonego przez miłość siebie w sobie.

W relacji nie ma świadomego cynizmu ani drażniącej obojętności. Opowiadający próbuje zachować w miarę rozważny punkt widzenia.

Lusnok patrzy na swoje życie oczami mężczyzny z okazałym, bardzo ciężkim, a zarazem beczennym bagażem doświadczeń. Zastanawia się nad sensem życia tu i teraz Nie stawia jednoznacznych diagnoz. Ciagle pyta. Rozważa. Przewartościowuje.

Kopciński wprowadza też drugą perspektywę opowiadania – tam i wtedy, kiedy byłem *gówniarzem*. Równoległa narracja tworzy pełny i uwiarygodniający obraz bohatera: tego z przeszłości bardziej i mniej odległej, jak również tego starszego, mającego już moc sądzenia i chłodnego oceniania. Tam, kiedyś, daleko – gówniarz, nieodpowiedzialny, zbyt zapatrozny w siebie i pełen wewnętrznej brawury, tu, teraz – mężczyzna zgniebiony tamtym „młodym”, dużo już mądrzejszy, lecz ciągle poszukujący.

Relacja układa się na płaszczyźnie obustronnego dopełniania, a co ważniejsze, próby zrozumienia. Gówniarz zazdrości starcowi mądrości, stateczności i jasności widzenia. Starzec tęskni za młodzieńczą witalnością, mocą sprawczą i bezwarunkową ufnością. Bywa, że patrzą na siebie ze wstydem. Myślą o tym samym, ale czują już zupełnie inaczej. Obaj mają sobie wiele do zarzucenia. Obaj domagają się szacunku. Obaj oczekują akceptacji. Obaj wiedzą też, że istnieją tylko dzięki wręcz symbiotycznej wzajemności. Wzajemność ta jest koniecznością, ale i katalizatorem życia.

Młodzieńczy, bezrefleksyjny entuzjazm, błędy i konsekwencje, a dopiero potem rodzące się na ich podstawie wnioski dają starcowi beczenną mądrość. Ta zależność rodzi pokorę. Trudno więc przeciąć nic...

W całym tekście słychać przejmującą ciszę. Istnieje w swej doskonałości bezceremonialnie i zupełnie bezwstydnie. Cynicznie pyta. Jest odpowiedzią. Wykrzykuje swoje racje, wydobywana na granicy skrajnej, poza światem. Ma siłę twórczą i moc. Przywołuje z nieistnienia i poraża nieprzeniknioną głębią. Buduje nastroj skupienia i niezwykle przejmującego

wyczekiwania. Owiewa sytuacje, wyrównuje ciśnienie między słowami. Jest okrutna, a zarazem zbawienna. Ta cisza jest w nim. Ta cisza jest Nią. Jest Miłością. Jest Życiem.

Okazuje się, że w owej ciszy można narodzić się na nowo, jednak jej oswojenie w sobie wymaga czasu, poświęcenia i odwagi.

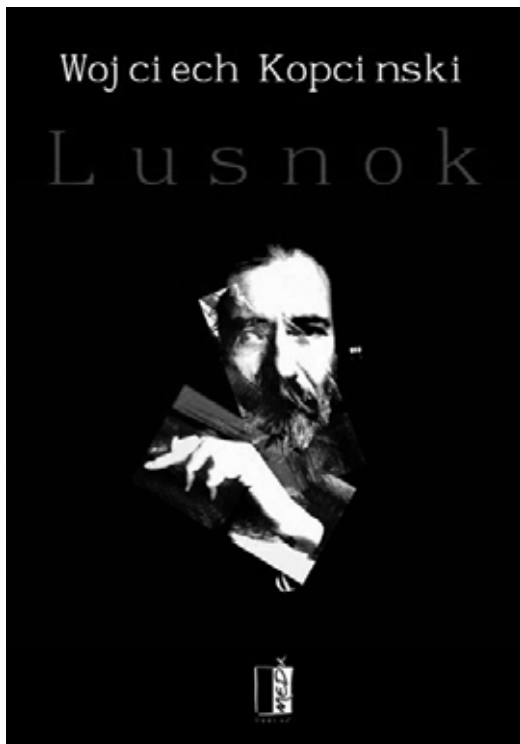
Tekst ma własny nastrój wewnętrzny i niepowtarzalny rytm. Swoista poetyka ciszy nadrzędnie organizuje całość. Opowieść ma bardzo sensualny charakter.

Autor za pomocą prostych środków wyrazu maluje słowem zmysłowe obrazy. Niemalże widzimy rozpościerające się góry, słyszymy nurt płynącej rzeki, skrzypiący fotel, czujemy rozcieraną palcami koniczynę. Sugestywne opisy przenoszą czytelnika w różne przestrzenie odczuwania. Słyszymy dźwięk skrzypieć, czujemy unoszący się w powietrzu zapach czekolady i oddech wszechświata.

„Lusnok” nie jest linearnie prowadzonym opowiadaniem. Fabuła ma tu drugorzędne znaczenie i jest tylko pretekstem do odnajdywania myśli i snucia rozważania. Kopciński podejmuje tematy niezwykle istotnie i wciąż bardzo trudne. Zręcznie balansuje na granicy życia i śmierci, miłości, Boga, szczęścia i prawdziwego poznania. Pokazuje, że te na pozór antyetyczne wartości mają moc wzajemnego przenikania.

Nie ma tu drażniącego moralizatorstwa i cynizmu, jest autoironia i szczerowość wyznania.

Kopciński tylko z pozoru tworzy wizję skrajnie pesymistyczną. Miłość uruchamia w człowieku mechanizmy wyniszczające, a zarazem daje siłę budowania, przebudowywania, upartego tworzenia. Nagle po trudach rozstania, rozpacz i ciągłych pożegnań, w Lusnoku coś pęka. I oto przemiana, iluminacja świadomości, nowej świadomości, świadomości ocalonej, oczyszczonej i ubogaconej. Błysk życia. Jakby odnalezienie wewnętrznej siły, łaska wiary i nadziei, że żyć można dalej i ciągle, i tak samo intensywnie, choć jednak inaczej. Bez uproszczeń i banalizowania. Po prostu. Przypływa na fali spokoju i wyciszenia jakaś trudno uchwytna prawda o człowieku. A więc nawet w czasie największego sztormu na oceanie uczuć, kiedy z nieba spadają błyskawice namiętności rozrywające niespokojną ciągle tafel wody, można ocaleć, można dopłynąć jednak do swego portu przeznaczenia.



Nad tekstem unosi się atmosfera wyjątkowości. Wojciech Kopciński zachowuje równowagę między tym, co intymne i osobiste, a tym, co uniwersalne i ponadczasowe. Dzięki temu ocala swego bohatera przed sztucznością i zarozumiałością. Pokazuje człowieka w całej jego istocie, kalekiego i ułomnego, a zarazem zdolnego do poświęceń i miłości. Wrażliwość czytelnika doprowadzana jest chwilami do stanu najwyższej bezradności. Brakuje słów, brakuje myśli, a zimny racjonalizm traci ze wstydem swą bezwzględność. Jedyną więc drogą do prawdy jest droga przez ciszę...

Tę ciszę warto było znaleźć między słowami.

„Światło” – książka Aleksandra Wiernego

Częstochowa to nie Los Angeles

Piotr Nita

Gdy fabułę osadza się w przestrzeni realistycznej, należy przygotować się na weryfikację tego odzworowania. Naturalnym odruchem, reakcją niemal podświadomą podczas lektury, jest zestawianie świata powieści ze światem prawdziwym, czyli tym, z którym każdy z osobna się styka (i na swój sposób widzi). Posłużenie się realistycznymi przestrzeniami jako tłem dla wydarzeń pociąga za sobą szereg konsekwencji. Przede wszystkim tekst rozbrojony zostaje z części swojego ryzostunku, którym jest wyłączność świadczenia o opisywanym miejscu. Tekst musi zostać wprzęgnięty w rygor realiów znanych nie tylko autorowi. Osadzenie akcji powieści „Światło” w przestrzeni miasta Częstochowy intrygująco koresponduje z jej fabułą – historią wykraczającą poza świat zjawisk wyjaśnionych, penetrującą obszary tajemnicy.

Nasuwa się skojarzenie z zabiegiem znany choćby z powieści „Lalka”, z której egzemplarzami w dłoni odbywały się przeciwieśmasowe pieszce peregrynacje po Warszawie, podczas których sprawdzano adresy, prawdziwość opisów, zmiany, jakie się pojawiły etc. Autor powieści „Światło”, Aleksander Wierny, jako dekoracjami posłużył się rejonami Częstochowy dość popularnymi, dobrze znanymi zarówno mieszkańcom, jak i przyjeźdźcom. W niewielkim stopniu jest to Częstochowa magiczna, bardziej turystyczna. Jakkolwiek posługując się zamieszczonymi w powieści opisami śmiało można rozrysować uproszczony plan miasta (zwłaszcza centrum), to nie obejmie on miejsc egzotycznych, nieodkrytych. Choć chwilami wydaje się, że w takie rejony autor jednak zajrzy.

Przeplatające fabułę refleksje na temat spraw i miejsc przykuwających uwagę częstochowian najwyraźniej służą bardziej wnikliwemu zaprezentowaniu tła akcji. Stanowią jednak istotne zagrożenie dla jej tempa. Zestaw tych refleksji, co prawda podany ze swadą i w sposób czytelny, nie wykracza poza tematykę regularnej rozmowy częstochowian przy kawie czy piwie (pamięć, wypadki architektoniczne inwestorów, okoliczne zbiorniki wodne, pani Kowalska & Skwer Solidarności etc.) Z drugiej strony, biorąc pod uwagę mocno odczuwalną, zwłaszcza na początku, pewną skrótowość, dochodzę do wniosku, że posłużono się tu pewnego rodzaju kodem. Kod ten, zwłaszcza kod miejsc, choć odczytywalny przez częstochowian, powinien pozostać przezroczysty dla



Fot. Leszek Pilichowski

osób nie znających spraw miasta. Przezroczystość ta ulega jednak pewnemu zabrudzeniu. Zauważalność kodu różnicuje więc czytelników na wtajemniczonych i tych mniej obeznanych. Zabieg ten, choć początkowo natrętny, z czasem rozwija się w element ciekawej gry z konwencjami, w którą wciągnięty zostaje niczego nieświadomy czytelnik.

Podczas lektury bardzo wyraźnie zaznacza się szkatułkowa konstrukcja powieści, która nie została zarzucona aż do końca i która dzielnie towarzyszy czytelnikowi do ostatnich stron. Mikrohistoryjki rozkwitające niczym matrioszki odbieram jako bezcenny element powieści. Ich rozwój także wart jest prześledzenia – w pierw statyczne wyznania blogera przekuwają się z biegiem stron w coraz bardziej dialogową wymianę maili, oddając tym samym atmosferę czasów, oraz sprawnie popychają fabułę ku dalszym zakrętom. Równoległe do tej konstrukcji biegnie tradycyjnie prowadzona fabuła, w której da się zaobserwować elegancko wprowadzony rytmizer – akapit rozpoczynający się za każdym razem od słów: „Dziś kiedy siedzę w małym, ciemnym pokoju, za odrapanym biurkiem i wspominam tamtą chwilę (...)”, wybijający coraz bardziej niepokojący rytm, który ma przygotować czytelnika na nadejście finału.

Psychologia postaci budzi pewne niepokoje. Choć postępowanie otoczenia głównego bohatera przebiega w pewnym kanonie, jednak działania i myśli jego samego to już sprawa odrębna. Niepokoi przede wszystkim jego oddanie sprawie – bohater przyporządkowuje swe postępowanie jednemu nadrzędnemu celowi i nic, co po drodze, nie jest ważne. W efekcie na oczach czytelnika rodzi się poświęcony śledztwu maniak, wyzbyty trosk i przywiązania do kogokolwiek – nie wykluczając rodziny, najbliższych, etc.; maniak spierający się wyłącznie z obsesją rozwiązania zagadki, nie widzący życia poza nią. Właśnie ta obsesja jest najczystszej wody dziedzictwem, zaczerpniętym z klasyki gatunku – z kryminału noir i jego szandarowej postaci, prywatnego detektywa bez życia prywatnego, typa spod znaku Philipa Marlowe’a. W powieści Wiernego ikona detektywa została swoiście przetworzona, jednak wpisuje się w generalną zasadę konstrukcji takiej postaci (widać to najwyraźniej, gdy narasta nastroj paranoi, a świat wokół postaci traci jednoznaczność i wdziera się do niego wszechobecny niepokój). Przewrotnie głównym bohaterem u Wiernego nie jest żaden twardeł – ten osobnik deklaruje, że nigdy się nie bił! Choć pracuje w otoczeniu twardeł – raczej się ich obawia. Mimo to przyjmuje na siebie funkcje detektywa, która do niego nie pasuje, nie ma bowiem żadnego przygotowania do jej pełnienia. Tym ciekawiej obcuje się z taką nieszablonową postacią, zwłaszcza, gdy zbliża się scena finału, kiedy czytelnik stawia sobie pytanie – kim się stanie ów samozwańczy detektyw, gdy opadną zastony?

Rodzaj śledztwa, jakie prowadzi bohater, także nie należy do zwyczajnych, bo to śledztwo duchowe, literackie, zmuszające do wertowania biblioteczki podejrzanego (na szczęście ten wątek nie został przez autora zbyt mocno rozbudowany – wąpie, by ramy kryminału zniosły taki, skądinąd ciekawy, zabieg). Do takich działań główny bohater czuje się w pełni powołany. Czuje więź duchową z podejrzanym, odnajduje w sobie wiele jego cech, a przede wszystkim „pracuje w języku”, co ułatwia mu głęboką interpretację wypowiedzi świadków oraz charyzmatycznego podejrzanego. Do takiego śledztwa został przygotowany, ba! – został stworzony.

Częstochowa to nie Los Angeles, ale gdy strony powieści przemawiają do czytelnika w takie oto słowa: „Deszcz. Padało nieustannie, jakby Częstochowa próbowała za wszelką cenę zmyć z siebie brud, którym przesiąkała do rdzenia” (s. 222), to aż chce się uwierzyć w braterstwo brudnych dusz obu tych metropolii. I ulega się temu czarowi, gdy na kolejnej stronie widnieje: „(...) Trafiliście w złe miejsce. (...) Uciekajcie stąd zanim dopadną was, ci którzy rozmazają mroczne Dzieło. Czas cudów pod obrazem Czarnej Madonny dobiegł końca, wpadniecie w sidła strasznych i wszech-

mocnych książy tego świata. Uciekajcie!” (s. 223). Kryminał noir z przymrużeniem oka w pełnej krasie.

W tym właśnie miejscu spinają się wysiłki twórcze autora i procentuje trud zabawy z konwencją. Nastroje swojskości i bezpieczeństwa, wytworzone za pomocą wcześniejszych opisów zwyczajnych ulic, skwerów i osiedli Częstochowy, na końcu zostaje zburzony i wywołuje ciekawy efekt świeżości spojrzenia. Lekkość, z jaką ten efekt się pojawia, pozwala odebrać go bez oporów. To miasto wygląda już inaczej.

Powieść wydana została przykładnie. Okładka współgra z nastrojem książki. Podnosząc ją ponownie po przerwanej lekturze, przez chwilę obcuje się z okładką, która swoim charakterystycznym designem pomaga ponownie wejść w świat (tu posłuszę się hasłem z plakatu promocyjnego książki) „Częstochowy jakiej nie znasz?”.

Powieść „Światło” wydał Polski Instytut Wydawniczy „Erica” z siedzibą w Warszawie. W związku z tym wydaje się, że autor może liczyć na sensowną dystrybucję. Wydawnictwo zadbało, by książka była dostępna w księgarniach sieci Matras (czyli w 100 placówkach w Polsce) oraz w innych mniejszych sieciach i samodzielnych księgarniach. To bardzo dobry znak, gdyż „Światło” powinno mieć szansę trafić pod strzechy.



Świat poetycki Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel. Jubileuszowy rekonesans

Joanna Warońska

Od publikacji pierwszego wiersza Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel *Brzuchy matek* w dodatku kulturalnym „Gazety Częstochowskiej” — „Nad Wartą” minęło trzydzieści lat. W tym czasie autorka zamieszczała swoje teksty (poetyckie oraz prozatorskie) na łamach rozmaitych czasopism, zdobywała nagrody, została członkinią Związku Literatów Polskich (1992), wydała sześć tomików poezji: *Listy do przyjaciół* (Częstochowa 1979), *Przynależność* (Częstochowa 1989), *Eksmisja* (Łódź 1990), *Niebo mojego czasu* (Częstochowa 1991), *Zagładanie w miasto* (Częstochowa 1999), *Ewa od poczęcia* (Warszawa 2007) oraz trzy powieści. I choć częstochowanie doskonale o tym wiedzą – Elżbieta Jeziorowska-Wróbel aktywnie uczestniczy przeciwieństwo w kulturalnym życiu miasta jako gość spotkań autorskich oraz juror poetyckich konkursów – jubileusz zawsze prowokuje do podsumowań i zachęca do ponownych lektur, tym bardziej, że kolejne tomiki porządkują i dookreślają jej poetycki świat. Zresztą sposób ich wydania (format oraz opracowanie) dokumentuje dziś zmiany, którym w ostatnich latach podlegał polski rynek wydawniczy.

Recenzenci podkreślali przede wszystkim wartość ujawnionej przez autorkę kobiecości podmiotu mówiącego. Z tej perspektywy Jeziorowska-Wróbel opisuje relacje z mężczyzną i światem, buduje portret Częstochowy oraz pokazuje uwikłanie w Historię, zarówno tę bieżącą, np. doświadczenie stanu wojennego, jak i w tradycje narodowego patriotyzmu (np. *Polska matka '81*, ZwM). Ważna jest więc dla niej miłość, rodzicielstwo oraz codzienne zmaganie się z życiem — kolejki, zakupy... Ale oprócz sygnatury kobiecej, która nie ma nic wspólnego z kłiwością czy naiwnością, a w wielu wierszach w ogóle się nie ujawnia, krytycy zastanawiali się także nad jej sposobem opisywania świata — Jacek Kajtoch nazwał *Niebo mojego czasu* „swoistym dokumentem wewnętrznego dialogu”, którego realizm polegał na unikaniu frazesów i tradycyjnych formułek¹, Elżbieta Hurnikowa znajdowała w tych

1 J. Kajtoch, *Postscriptum*, [w:] E. Jeziorowska-Wróbel, *Niebo mojego czasu (wiersze z lat 1981–1989)*, Częstochowa 1991, s. 58, 60.

wierszach „diagnozę naszej rzeczywistości i próbę zrozumienia polskiego losu”², a Arkadiusz Frania pisał o charakterystycznej dla wielu z nich „filozofii moralnego niepokoju”³. Taka postawa wobec świata oraz wypracowany przez podmiot język wynikały z cierpliwego doświadczania życia, postawy racjonalnej (namysł i analiza) oraz być może, jak podkreślał Sławomir Burszewski, „z pewnej religijności i namaszczenia codziennych szczegółów”⁴.

Poetka chętnie eksponuje niejednoznaczność podmiotu i miasta oraz chaos rzeczywistości (korzysta z toposów: *życie-cyrk* czy *życie-kałajda*). Posługuje się wówczas kontrastową parą — Szatan i Anioł (NMC, s. 11), Bóg (Chrystus) i Judasz (NMC, s. 11; NMC, s. 49), antonimów: niebo i piekło (NMC, s. 11) lub pojęć wykluczających się — Częstochowa pomiędzy modlitwą, handlem a pracą hutnika (tryptyk *Wejście*, ZwM).

W wierszu *Ulica '93* (ZwM) podział świata na górę i dół, dobro i zło, wzmocniony budową graficzną, określa także możliwość emocjonalnego uczestniczenia w wydarzeniach: współodczuwanie albo obojętność. Mimo biedy i beznadziei ludzi, pośród nocy rozbijanej sztucznym światłem neonów, bogowie beznamietnie grają w kości, co brzmi niemal jak potępienie:

— a tam gdzie w górce
herosi i bogowie
silni i piękni barwą słów odziani
wciąż grają w kości
na okrągłej sali z głowami w chmurach
nie widząc
ulicy

Nie dziwi więc, że poetka staje się jedną z buntowniczek przeciwko „górze” niewiarygodnej i nierzeczywistej. Jej podmiot kwestionuje wartość wielkich słów, które nie zawsze wyrażają prawdę świata. Trudów ziemskiego życia zdaje się nie wytrzymywać nawet Bóg, zwłaszcza w sytuacjach ekstremalnych (wiersze powstałe

2 E. Hurnikowa, [fragment opinii], [w:] E. Jeziorowska-Wróbel, *Zagładanie w miasto*, Częstochowa 1999, s. 68.

3 A. Frania, *Alienacja i więź (Elżbieta Jeziorowska-Wróbel)*, [w:] tenże, *Strażnicy i najeźdźcy: zjawiska we współczesnej poezji regionu częstochowskiego*, Częstochowa 2005, s. 20.

4 S. Burszewski, *Małgosia kontra Małgosia?*, „Aleje 3” 1999, nr 20, s. 7.

w stanie wojennym — *Późną nocą*, ZwM; *Godzina dwudziesta trzecia*, ZwM), dlatego staje się podobnie jak anioł jedynie elementem tradycyjnej metafizyki, charakterystycznej dla stereotypowego obrazu Częstochowy. Zdaniem poetki, rolę prawdziwych mężów opatrznosciowych powinni raczej przejąć idealisci traktowani jako męczennicy rzeczywistości (NMC, s. 31), naprawdę odpowiedzialni za kształtowanie warunków życia. Zastrzega jednak, że idealizm nie może być formą dezercji, ucieczki w marzenia, ponieważ najważniejszym zadaniem człowieka jest uczestniczenie w „swoim czasie” (ZwM, s. 40).

Takie widzenie świata wpływa także na portretowanie miasta. Kajtoch⁵ i Frania⁶ pisali o biologicznym, wręcz naturalistycznym obrazie Częstochowy. Rzeczywiście, w poezji Jeziorowskiej-Wróbel znajdziemy przestrzenie wyklęte, zapomniane, o jakich zwłaszcza w „świętym mieście” nie wypada mówić. Poetka jest jednak przekonana, że prawda tkwi w brzydocie, a zadowolenie i łatwy optymizm mogą zniekształcić sposób postrzegania. Przyczyny takiej postawy wobec świata tłumaczy m.in. w wierszu *Kanały*. „Dół”, brzydota stanowią dla niej punkt odniesienia w procesie budowania kanonu wartości:

trzeba w nie wejść
żeby zrozumieć
jaką wartość ma to
co nad nimi
(NMC, s. 12)

Zwłaszcza nocą ożywiona i uczłowieczona rzeczywistość rozpoczyna swoje fantasmagoryczne życie, a jej poruszenie wyznacza także zastosowana inwersja składniowa. Do opisywania miasta podmiot wykorzystuje określenia znane z literatury naturalistycznej — „gardziele wyziębłych ulic”, „brzuchy podwórek”, „kiszki korytarzy”, „skronie ulic”, „usta miasta”, „żołądek miasta”.

Taka przestrzeń zagraża uprzedmiotowionemu i zastygłemu w bezruchu człowiekowi (najostrejszy kontrast przynosi obraz ożywionych cmentarzy i ludzi podobnych „gipsowym aniołom”, NMC, s. 45). Przytoczone sformułowania nie powołują jednak do życia potwora. Nazwy dzielnic

i ulic Częstochowy tworzą raczej baśń, albo sen, wszak brudne i zaniedbane podwórka czy kamienice opisywane są z ogromną tkliwością i wyznaczają scenę pojawienia się Anioła wiary lub aniołów niespełnionych marzeń. Sięgając więc do naturalistycznej metafory miasta-potwora, Częstochowa z wierszy Jeziorowskiej-Wróbel to co najwyżej potwór zaklęty, uśpiony.

Obraz miasta wpisuje się raczej w trudy człowieczego bytowania, w którym najważniejsza, zdaniem podmiotu *Trzech przykazań*, okazuje się umiejętność wartościowania i krytyczna ocena podsuwanych przez otoczenie możliwości. Dlatego ostrzega przed nachalnością zużytych gestów i komunałów:

Synu nigdy nie bądź
stalowym bohaterem z woskowymi skrzydłami
które powieka słońca zamieni
w piekące tży
(NMC, s. 22)

Zastosowane tu oksymorony i paradoksy: „stalowy bohater z woskowymi skrzydłami”, „cokoły stawiane na piasku” czy wreszcie „dom budowany od komina”, który jednak bardziej niż *Podwaliny* Leopolda Staffa przypomina kota z *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carolla pojawiającego się od uśmiechu*, powinny ostrzec młodego człowieka przed zbyt łatwym uleganiem złudnym postawom wielkości czy bezpieczeństwa.

Portretowany przez Jeziorowską-Wróbel człowiek musi wybrać: albo zatraci się w sobie jak „dziewczyna z przechodniej bramy” i ograniczy się do doświadczania świata, jego przyjemności, albo spróbuje „przerosnąć samego siebie”. Podmiot unika jednoznacznych wartościowań, jakby ostrzegał, że może to prowadzić do zafałszowania świata i ograniczenia percepcji. Znajdziemy więc utwory pochwalające radość bycia w świecie (takie są erotyki z pierwszych tomików czy choćby *Cygańska fantazja*, NMC), choć poetka dostrzeżę również zagrożenie jednostki odcłowieczoną ideologią tłumy, który jak ten opisany przez Gustawa Le Bona podlega irracjonalnym prawom. W opisie tłumy dominuje zwyczajowo szarość, by podkreślić wywołaną strachem potrzebę mimikry, bierność i zniewolenie. Stawką gry podejmowanej przez

5 J. Kajtoch, dz. cyt., s. 60.

6 A. Frania, dz. cyt., s. 16.

* Kot z Cheshire właśnie na odwrót, zniknął, pozostawiając po sobie uśmiech – przyp. red.

jednostkę jest wolność osobista. Poetka w tym celu posługuje się obrazem: „całkiem mały człowieczek” wobec „wielkich słów, wielkiej miłości, wielkiego Boga” (*Wartościowanie*, NMC) i kreśli możliwy happy end: „zamotoany w wielkie idee” „tworzy wielkie epoki”. I choć pobrzmiwia w tych wierszach maksyma Gorkiego „człowiek to brzmi dumnie” (NMC, s. 36), zdrobnienie „człowieczek” wzmocnione przymiotnikiem „mały” obnaża jego śmieszność, a słowo „zamotoany” wprowadza bierność i nieporadność. Właśnie na tym polega pozbawiona patosu heroicznosc codziennosci. Taka jednostka — wielka i śmieszna zarazem — w imię ideałów musi dokonać kolejnego wyboru: albo jak żebraczka odrzuci prawa cywilizacji, by „na plecach dźwigać worek Boga”, albo podejmie grę ze społeczeństwem i jego ideologią. Balansowanie na cienkiej linii między kodeksem wartości a zachowaniami rozpowszechnionymi w grupie sprowadza na nią śmieszność i przekształca w blaźnia/klauna (ZwM, s. 50; ZwM, s. 52).

Wiersze Jeziorowskiej-Wróbel pokazują podmiot w dialogu z Innymi i jego próby zrozumienia świata. Pojawiają się więc nawiązania do Hamletowego monologu „być albo nie być” w rozmaitych kontekstach — od tematu karków na mięso do filozoficznych problemów egzystencji, oraz do Kartezjuszowskiego „Cogito ergo sum”. W wielu wierszach kobieta wypowiada się niemal z pozycji mędrca, o czym świadczą słowa: „poznałam”, „spozstrzegłam”, „pojęłam”, „zrozumiałam”, „znam”, „nauczyłam się”, „naumiałam się”. Równie chętnie korzysta z rozkazników, by w ten sposób pouczyć swojego adresata: „idź spać twarogórki”, „nie śmieję”, „nie dziw się”, „oszczędź mnie”, „weź”, „strząśnij”, „uściśnij”, „przywołuj”, „patrz”, „spij”, „przytul”, „wina się napij”, „kochaj mnie” albo form nakazu: „nie należy”, „nie trzeba”, „nie wolno”. Podjmuje także próbę odnalezienia formuły świata. W wielu utworach pierwsze wersy brzmią jak teza do udowodnienia: „tylko lustro w łożenie/ zna prawdę o nas” (NMC, s. 28), „odwaga jest tylko na cmentarzach” (NMC, s. 45), „grzech Ewy to pretekst” (EoP, s. 49), „dziewczyzna z przytułku/ też ma swoją miłość” (EoP, s. 37), „ja jestem miły/ z innej bajki” (EoP, s. 19), „mężczyzn nie trzeba koniecznie kochać” (EoP, s. 15), „wymyśliłam ideał/ na własny użytek” (EoP, s. 5), „mężczyzna/ całe życie szuka matki” (EoP, s. 73) czy „chodzę wokół ciebie/ jak Ksantypa” (EoP, s. 41). Podmiot jest jednak świadomy niebezpieczeństwa podejmowanych prób. W *Cenie zrozumienia* (ZwM) okazuje się nagle, że tolerancja albo tytułowe

zrozumienie podszyte są obojętnością wobec Innego. Uznanie konieczności i nadrzędności: Natury, Wolnej Woli, Rasy, Temperamentu, sprowadzać może bierność, niechęć do relacji z Innym czy brak ingerencji w jego zachowanie.

Poddanie świata próbie rozumu wynika w utworach Jeziorowskiej-Wróbel z potrzeby znalezienia jego celu i sensu. I wtedy pojawia się Strach. W wierszu z incipitem „My Jasiek” (ZwM) bohaterowie pokazani jak „para narowistych koni” przy jednym dyszlu, pozostają w nieustannym ruchu. Najważniejszy jest jednak końcowy fragment, który przekształca pogoń „za chlebem” w egzystencjalny i horyzontalny kołowrót:

ciągnąc za sobą wóz
na którym staruszek strach
wywija batem
woźnicę
(ZwM, s. 33)

Myślę, że wbrew temu, co pisał Frania, ten strach niekoniecznie jest „paraliżujący”. Motyw biegnących koni nawiązuje raczej do pędu Bergsona (*élan vital*) czy *Szalu* Podkowińskiego, przywołanego w innym wierszu (EoP, s. 45).

Będzie to więc niemal metafizyczne nienasyce, wywołane poszukiwaniem istoty świata. Zresztą strach u Jeziorowskiej-Wróbel ma różne źródła i nie można go jednoznacznie sklasyfikować. Zasada się na konieczności życia, nieuchronności śmierci, konsekwencjach sprzeciwu wobec władzy, niejednoznaczności losu czy braku gotowej recepty na szczęście. Wielość przyczyn sprawia, że uczucie to dotyka wszystkich, nawet bohaterów wojennych. Uznanie powszechności strachu nie oznacza jednak pogodzenia się z nim, ponieważ według poetki niszczy on człowieczeństwo, sprowadzając podejrzliwość, samotność, obojętność:

czasem jeszcze odnajdujemy
jakaś życzliwą duszę
ale w obawie przed odtrąceniem
odtrącamy ją sami

dojrzewając od zawsze w strachu
(bo może jutro nie zaistnieje)

kurczymy się w sobie
nie zostawiając miejsca na szczęście
(ZwM, s. 54)

Mimo niejednoznaczności świata i podejrzliwości wobec tego, co na górze, ruch wertykalny istnieje. Wyznacza go postawa kłęcząca, modlitwa, marzenia, a nawet podmiot prostujący się wobec naporu wydarzeń. Rewitalizację sprawdzić może także kobieta, która z pomocą zwykłych przedmiotów porządkuje rzeczywistość i przemienia zło w dobro — motto Johna Irvinga do *Przynależności*, wiersz z tego tomu zaczynający się od wersu „Głupcze”, *Dajcie mi chochłę* (NMC) czy wreszcie erotyki pokazujące trud codziennego ugłaskiwania mężczyzny-wojownika. Sposobem przeciwstawienia się bezsensowi świata i dominacji strachu jest także pamięć, zgodnie z Horacjaną formułą „Non omnis moriar”, zaś w systemie wiersza chętnie stosowane powtórzenie (nawrót, kompozycja pierścieniowa) oraz ironiczna pointa budująca zdystansowanie podmiotu.

Tym samym okazuje się, że poezja Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel powstaje jako wnikliwa analiza kondycji świata. Jej utwory nie są wyłącznie zapisem umykających chwil, ale raczej próbą ich zdiagnozowania, zrozumienia. Potrzeba

zachowania dystansu wobec wydarzeń, gwarantującego prawo do samodzielnych sądów i opinii, nie oznacza jednak całkowitego wyobcowania podmiotu, który pozostaje zaangażowany emocjonalnie w rzeczywistość, o czym może świadczyć pojawiający się często w tych utworach motyw łez. Taka postawa budzi także marzenia o świecie lepszym, piękniejszym, w którym obowiązują prawdziwe wartości.

Potwierdzają to także zastosowane środki poetyckie. W jej wierszach, sklasyfikowanych w pierwszej lekturze jako wolne (klauzula dzieli nawet wyrażenia przyimkowe), pobrzmiewa tradycyjna fraza, dbałość o rytm, na co zwracał uwagę Stanisław Podobiński⁸. Poetka unika natomiast rymu, który budowałby w tym niejednoznacznym świecie jakieś złudne podobieństwa.

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel ma wciąż wiele planów na przyszłość, dlatego z niecierpliwością czekamy na jej kolejne tomy, a w dniu jubileuszu życzymy spełnienia wszystkich literackich marzeń.

Joanna Warońska

8 S. Podobiński, [fragment opinii], [w:] E. Jeziorowska-Wróbel, *Zagładanie w miasto*, s. 69.



Konkurs poetycki

REGULAMIN
Międzyszkolnego Konkursu Poetyckiego
„Jesienne oswajanie słów”

ORGANIZATORZY:

Filia Nr 1 i Filia Nr 9 Biblioteki Publicznej
im. dra. Wł. Biegańskiego w Częstochowie.

Celem konkursu jest inspirowanie zainteresowań literackich oraz poszukiwanie i promowanie młodych, utalentowanych poetów.

WARUNKI UCZESTNICTWA:

1. Do konkursu organizatorzy zapraszają młodzież częstochowskich szkół ponadgimnazjalnych.

2. Warunkiem uczestnictwa jest dostarczenie w nieprzekraczalnym terminie do 30 października 2009 r. trzech nigdzie niepublikowanych i nienagrządzanych w innych konkursach utworów poetyckich.

3. Prace powinny być oznaczone godłem słownym (pseudonimem literackim). W kopertach oznaczonych tym samym godłem autorzy powinni umieścić następujące informacje:

Imię i nazwisko autora - nazwę i adres szkoły oraz klasę - imię i nazwisko nauczyciela polonisty - numer telefonu kontaktowego i adres e-mailowy (najlepiej zarówno uczestnika jak i nauczyciela, bądź szkoły).

4. Prace konkursowe należy złożyć w Bibliotece Publicznej im. dra Wł. Biegańskiego w Filii Nr 1 (Al. Niepodległości 11, 42-200 Częstochowa, (tel. 363 64 44) lub w Filii Nr 9, (ul Nowowiejskiego 15, 42-200 Częstochowa, tel. 360 61 14).

5. Nagrody: Najlepsze wiersze zostaną opublikowane w Dwumiesięczniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje3”. Ponadto dla ich autorów przewidziane są atrakcyjne nagrody.

6. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w drugim tygodniu listopada 2009 r.

7. Wszelkie dodatkowe informacje można uzyskać bezpośrednio u organizatorów konkursu.

Tadeusz Gierymski

* * *

Jeśli nie wrócę ze szpitala,
niech nocna lampka się zapala
na moim biurku cały tydzień,
niech wszystko jak szło – dalej idzie,
książki, gazety rozrzucone,
moje zapiski i notatki,
ze ściany niech na biurko patrzy
twarz mojej wnuczki, ojca, matki...

I by sprawiła jakaś siła,
by żona czasem się przyśniła,
która podaje do ust wiśnie
mnie... kiedy już nie będę istnieć,
tak jak czyniła w młodych latach.
Niech zrobi to w tym śnie. W zaświatach.

* * *

Znowu
zobaczyłem jeża
przesuwał się po ostrzyżonym trawniku
jak czarna gąbka
z Północnego Morza

Zanim przyniosłem spodek
mleka
błądny rycerzyk
znikł jak kołący sen
w budzących ostro niechęć
badyłach ostu

Nagrody Prezydenta Miasta

W ramach Dni Częstochowy przyznane zostały nagrody Prezydenta Miasta dla zasłużonych uczestników życia kulturalnego naszego miasta. Prezydent Tadeusz Wrona przyznał nagrody w następujących kategoriach:

- literatura i historia;
- teatr i film;
- muzyka i taniec;
- sztuki plastyczne;
- promocja i ochrona kultury.

Nagrody za rok 2009 otrzymali:

LITERATURA I HISTORIA

Henryk Bardijewski – prozaik i dramaturg, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, debiutował w 1952 r. na łamach „Szpilek”. Wieloletni pracownik Polskiego Radia, pełnił m.in. funkcję kierownika Redakcji Słuchowisk. Autor opowiadań, powieści, słuchowisk, a także sztuk i scenariuszy telewizyjnych. Jego utwory przetłumaczono na kilkanaście języków obcych.

TEATR I FILM

Krzysztof Jędrecki – operator telewizyjny i filmowy związany z Redakcją Częstochowską TVP. Autor wielu informacji telewizyjnych, reportaży oraz filmów dokumentalnych. Nagrał relację z wielkiej ilości imprez teatralnych i muzycznych w Częstochowie – twórca m.in. dorocznych relacji z Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Związany z takimi programami, jak „Ekspres reporterów” i „Z krukiem w herbie”, współpracownik wielu twórców i publicystów.

MUZYKA I TANIEC

Włodzimierz Gołębiowski – klawecista, od 35 lat pracujący w Filharmonii Częstochowskiej jako muzyk solista. Pedagog Zespołu Szkół Muzycznych oraz kierownik big bandu ZSM, który doprowadził na wiele znaczących festiwalu, m.in. na Złotą Tarkę w Iławie. Konsultant klas klawetu w innych szkołach muzycznych regionu. Juror wielu konkursów instrumentalnych.

SZTUKI PLASTYCZNE

Jacek Pałucha – malarz o charakterystycznym, groteskowym stylu. Specjalizuje się w malarstwie sztalugowym, ale prócz tego zajmuje się ilustracjami, karykaturami oraz plakatami (m.in. do „Ożenu” Mikołaja Gogola w Teatrze im. Adama Mickiewicza). Ma w dorobku wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Muzyk, założyciel Formacji Nieżywych Schabuff, projektant okładek płytowych (m.in. „Spokojnie” Kultu).

PROMOCJA I OCHRONA DÓBR KULTURY

Anna Operacz – wieloletni pracownik, a od 1992 r. dyrektor Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie. Odnacza się dużym talentem organizatorskim. Odpowiedzialna za wiele interesujących przedsięwzięć kulturalnych. Zaangażowana w integrowanie środowisk lokalnych na rzecz rozwoju kultury oraz w przywracanie pamięci o zapomnianych osiągnięciach kultury regionu. Bierze udział w organizacji częstochowskich przedsięwzięć kulturalnych i koordynuje działalność wielu instytucji kultury.

W tym roku wszyscy laureaci otrzymali nagrody za całokształt działalności. Prócz tego w uzasadnieniu nagrody dla Jacka Pałuchy uwzględniono propagowanie polskiej kultury za granicą.

Wyróżnienie „Mecenas Kultury 2009” w tym roku otrzymało Częstochowskie Przedsiębiorstwo Komunalne sp. z o.o. w Sobuczynie.

GRATULUJEMY!



Fot. L. Pilichowski

Od lewej: Jacek Pałucha, Włodzimierz Gołębiowski, Anna Operacz, prezydent Tadeusz Wrona, Krzysztof Jędrecki, Henryk Bardijewski

Samochody wygrały z końmi

Zbislaw Janikowski

Dominując jeszcze w latach czterdziestych i pierwszej połowie pięćdziesiątych na naszych ulicach pojazdy konne powoli, być może niechętnie, ustępowały pola koniom mechanicznym. Jeszcze przez jakiś czas utrzymywała się symbioza tych pojazdów, która stopniowo zmieniała się w konkurencję, a potem ostrą walkę; wynik mógł być tylko jeden. Pojazdy konne odeszły. Więcej, uległy zapomnieniu, a i zwycięzcy, te pierwsze mechaniczne cuda, też zniknęły z naszego świata, można je co najwyżej spotkać na pokazach i rewiach starych samochodów, a wtedy... Wtedy zachwytom i cmokaniami, a czasem drwinom, nie ma końca.

A było tak. Pierwszą bitwą, najbardziej spektakularną, stoczyły konne dorożki i samochodowe taksówki. Drugie z nich, choć niezbyt komfortowe, wysłużone, często z wojenną karierą na karku, woziły chętnych, a tych nie brakowało. Dziś każdy z tych wysłużonych ponemieckich opli lub hanomagów, a nawet mercedesów, czy francuskich, jakże wtedy nowoczesnych, citroenów, które w zasadzie służyły wyłącznie w milicji, znalazłby nabywcę hobbystę. A to nie wszystko... Trafiły się wiekowe czeskie taxy, wyglądem przypominające hiszpańskie galeony (wprawdzie bez ozaglowania), pływające kiedyś na krańce świata do Ameryki, lub pochodzące z tejsze Ameryki chevrolety, zdobne chromami doczepionymi do wojskowego surowego kształtu. Tak było, nim pokazały się amerykańskie krążowniki szos, szerokie jak fortepian, a strojne w skrzydła, upstrzone srebrnymi lub złotymi blachami, z szerokimi skórzanymi siedzeniami i silnikiem spalającym ileś tam galonów benzyny na ileś tam mil przebiegu. Te „cuda techniki” wabiły, chętnych na przejazd, a czasem tylko przejażdżkę przybywało, toteż wkrótce powstały postoje taksówek. Postój taki był między innymi przy Kilińskiego (wtedy dwukierunkowej), nim przeniesiono go na równoległą (też dwukierunkową) Dąbrowskiego. Tu taksówkarze rozgościli się na długie lata. Na resztkach murów wojennej ruiny (gdzie dziś siedziba Gaude Mater) zainstalowano nawet dzwoneczny telefon. Charakterystyczną jego cechą było to, że dzwonił, sygnalizując, że z drugiej strony jest ktoś, kto dzwoni właśnie pod ten numer i ma (jakże często płonną, niestety) nadzieję, że w ten sposób wezwie taksówkę. Niedoczekanie, oczekującej na klien-

ta taksówki najczęściej na postoju nie było, a jeżeli była, to zanim kierowca wygramolił się ze swego wozu, nim doszedł do gniazdka aparatu, rozplątał przewód i wetknął wtyczkę w odpowiednią dziurkę, mijały wieki i połączenie zazwyczaj zostało przerwane. Ale telefon na postój taksówek był i dzwonił donośnie, słychać go było w ogródku kawiarni Teatralnej, a w letnie spokojne noce, gdy okna były otwarte, i u mnie w pokoju na Raclawickiej. Tak na marginesie, słyszalność miasta była doskonała, dobiegały zapowiedzi o odjeżdżających pociągach z dworca głównego, kolejarские rozmowy i komendy z formowania składów na stacji towarowej Stradom, poranne fabryczne syreny obwieszczające początek pierwszej zmiany i oczywiście jasnogórskie poranne godzinki. Do dziś pamiętam śpiew zakonnika: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą...”. Wróćmy na chwilę do owego taksówkarskiego telefonu, było to połączenie telefonicznej słuchawki z tarczą numerową i tą ówczesną „komórką na uwięzi” taksówkarz mógł się połączyć niemal z całym – o nie, nie światem – z miastem.

Jeżeli rozprawiamy się z taksówkami, to należy przypomnieć, że w szale uspołeczniania wszystkiego przy naszym MPK utworzono Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe. Przepiękne rodzime warszawy rodem z Żerania, ozdobione paskiem kolorowej szachownicy (o dziwo, jej koloru nie pamiętam) oraz herbem miejskim i numerem bocznym, hasały po naszych ulicach, dostarczając wiecznych powodów do krytyki redaktorom miejscowych gazet. Oczywiście w taksówce zainstalowany był taksometr, czyli licznik pokazujący kwotę, jaką należało uiszczyć za prze-



Autor artykułu w roli pilota

jechane kilometry. Ileż z tego powodu było awantur, że taksówkarz, łamiąc chorągiewkę licznika, włączył w dzień nocną taryfę, że nadłożył drogi, by zainkasować wyższą należność, że...

Pierwszych motoryzacyjnych emocji doświadczyłem już w czasie wojny. Po mieście jeździły niemieckie pojazdy wojskowe, w większości ciężarówki. Imponowały barwami ochronnymi, wielobarwna pstrokacizna, mieszanina zieleni, żółci i brązów. W ostatnią wojenną zimę (a to już zapamiętałem do dziś) dobrze dominowała ochronna maskująca biel i błądź Niemców wystraszonych nadciągającą radziecką ofensywą. Ta ofensywa sprawiła, że nastąpiła zasadnicza przemiana: niemieckie ople zastąpiły skromnie przy nich wyglądające rosyjskie zisy, o których wieść gminna głosiła: „zis piat’ (5) / z góry jechać / w górę pchać”. W sumie jednak jechały na zachód i dojechały aż do Berlina. Gama wojennych pojazdów była bardziej rozbudowana. Po stronie niemieckiej widziało się na ulicach ciężkie transportery kołowo-gąsienicowe, holujące wielkie armaty, lub zwinne małe amfibie volkswagena – podobny do nich był filmowy samochód Pana Samochodzika. Owa amfibia miała umocowane na masce silnika koło zapasowe, a oprócz tego dziesiątki uchwytów, przeróżnych „dinksów” i zdaje się, że popularnie zwana była żabą. Najgroźniejsze, wzbudzające postrach, były hitlerowskie „budy”, przewożące więźniów i ludzi złapanych przez okupantów w ulicznych represyjnych łapankach. W szeregach rosyjskich, oprócz sławnych zisów, służyły też amerykańskie wojskowe ciężarówki, znowu zwane „żabami” od charakterystycznego ściętego i spłaszczonego przodu pojazdu, przypominającego żabi łeb – pomyśleć: wielka, krwawa i okrutna wojna, a co krok żaba. Miejsce niemieckich zwinnych małych pojazdów terenowych zajęły znowu amerykańskie (w „naszej” służbie) jeepy, różne dodżki (dodge) i inne cudelka. Jeszcze wiele lat po wojnie, w drugiej połowie lat 50., pojazd taki był na wyposażeniu studium wojskowego Politechniki, a jazda w nim kilkunastu „zbrojnych” studentów to było naprawdę coś! W militarnej branży przemiany były dobrze widoczne, bo pojazdy stacjonującej na Stradomiu jednostki wojskowej często kręciły się po częstochowskich ulicach, i tak archaicznego zisa-5 zastąpił równie nieporadny, produkowany w Lublinie – lublin, ale pojawił się też supernowoczesny, wzbudzający autentyczny podziw, nasz wojskowy star 66. Miał wygląd i sprawował się doskonale, ale jak to u nas bywa, rozplynął się wnet w zawierusze dziejowej.

Wróćmy jeszcze na chwilę do początków mojej znajomości z motoryzacją, jeszcze tą wojenną i bezpośrednio powojenną. Ileż emocji wywoływał

widziany na ulicach trójkołowiec, przedziwna konstrukcja przypominająca więcej łódź niż samochód. Szpiczasty dziób tego pojazdu z umieszczonym pod nim jednym kołem, a za nim szoferka (dziś mówi się pięknie po polsku: kabina) w której, niczym sternik w sterówce kutra, siedział szofer (szofer, a nie kierowca), i wreszcie paka czy też skrzynia (bo tak się to najczęściej określało), miejsce służące do przewozu ładunków. Niech nikt mnie nie pyta o osiągi i ładowność tego wehikułu. Wystarczy, że był, jeździł i służył do celów, dla których został stworzony.

Innym cudem wojennej techniki były samochody na gaz, a konkretnie na „holzgas”. Wielkie ciężarówki zamiast benzyny używały gazu wytwarzanego we własnym piecu, w którym spalały drewno – a raczej poddawały je procesowi suchej destylacji (jeśli źle tłumaczę, proszę mnie poprawić) i w ten sposób uzyskiwano paliwo do napędu samochodowego silnika. Służył temu wielki okrągły, pionowy piec zainstalowany między szoferką a skrzynią ładunkową, w którym „spalały” się drewniane kłocki przypominające kształtem granitową kostkę uliczną. W tym piecu ciągle coś łomotało, syczało, dudniło i prychało, w mąłym, okrągłym otworze widać było migoczący niebieski płomyk, a płatanina rur przesyłała wytworzony gaz do cylindrycznego zbiornika umieszczonego z przodu pojazdu, poniżej silnika. Jak to działało, nie wiem. Zapamiętałem jeszcze żelazną drabinkę zawieszoną między szoferką i skrzynią, na której, w mniejszej skrzyni, leżały drewniane kłocki, i szoferka (podkreślam, nie było w tym czasie kierowców, tylko szoferzy), który wspiął się po kolejną porcję drewna, by dać jeść swojej gazowej maszynie. Pamiętam też podziw ulicznych gapiów i komentarze: „panie, nie trza żadnych stacji benzynowych, wystarczy dobra siekierka, by w lesie uzupełnić zapas paliwa”. I jeszcze jedna proekologiczna zaleta: zamiast zapachu spalin, wokół pachniało pięknie palonymi sosnowymi szczapami.

W tym czasie doświadczyłem też pierwszej w życiu krajoznawczej wycieczki samochodowej. Miałem jakieś siedem lat i znajomy rodziczy, pan Zebek, wyczerterował gdzieś wspaniałą (oczywiście z wojennego demobilu) półciężarówkę, angielskiego bedforda. Różniło się to auto od innych pojazdów absolutnie wszystkim. Ścięty przód nadawał mu wygląd buldoga, kierownica była po prawej stronie. Krótka paka z ławkami po bokach, na których nie starczało miejsc dla wszystkich, była na tyle szeroka, że stanęło na niej kilka normalnych wycielanych krzesel „ze stołowego”, które podskakiwały na wybojach razem z siedzącymi na nich paniami. My, chłopcy, staliśmy oczywiście za szoferką, której dach był kryty brezentem, z okrągłym włazem dla obserwatora i uchwytami na karabin maszynowy. Tak dojechalśmy do Oj-

SENTYMENTY

cowa, a potem jeszcze z jakąś wizytą do Krakowa; że przeżyliśmy tę podróż, to cud, ale w końcu byliśmy wojennym pokoleniem, przystosowanym do różnych trudności. Oczywiście, po drodze psuło się wszystko: jakiś karburator, jakieś serwo, zgrzytał dyferencjał, siadły resory, gotowała się woda w chłodnicy, puszczały simeringi; trzeba było wymieniać koło, bo „złapaliśmy gwoździa”, a temu towarzyszyła jeszcze jedna atrakcja: wulkanizowanie dętki, czyli klejenie na niej kolejnej łąty, i na to wszystko napatoczył się służbista milicjant. Musiał być bardzo ważny, bo na rękawach miał ceratowe białe mankiety z wymalowanymi czerwonymi kółkami. Czego chciał, nie wiem. Pan Zebek umawiał się z nim długo, a z wysokości naszego stanowiska nad szoferką słyszałem tylko: „to może jeszcze zainstalować zegarek z wodotryskiem”. Nigdy w życiu nie dowiedziałem się, jak wyglądał taki zegarek, milicjant chyba też nie, a dziś wątpię, czy widział go również pan Zebek. Skończyło się na tym, że w przydrożnym rowie, wzorem Indian, wypalili fajkę pokoju i po staropolsku pociągnęli z jednej butelki coś, co wytwarzał sam pan Zebek, a był podobno w tej dziedzinie mistrzem. W dzisiejszych czasach nie milknie dyskusja na temat polskich dróg, a wtedy... Poza krótkim odcinkiem klinkierowej, czerwonej katowickiej szosy, podróżowaliśmy szutrowymi drogami z jurajskiego uwalowanego białego kamienia wapiennego. Trzęsło, kurzyło, pióropusz, a raczej biała pyłowa zasłona wisiała nad drogą długą, chyba nie opadła nawet do na-

szego powrotu, tyle, że po ciemku była niewidoczna.

Jeszcze bardziej atrakcyjna była samochodowa przejażdżka, którą zafundował nam sąsiad, przemily starszy pan, poznaniak wysiedlony podczas wojny przez Niemców z rodzinnego miasta, który szybko wrócił w Częstochowę, a mieszkał w naszej kamienicy. Miał ponemieckiego hanomaga, białą limuzynę z opuszczanym dachem i pięknymi, czerwonymi fotelami ze skóry. Do tego salonu na kółkach zaparkował nas, dzieciarnię z podwórka, i pomknęliśmy znowu piękną klinkierową szosą, tym razem w kierunku na Łódź i Warszawę. Jakież to musiało być przeżycie, skoro pamiętam je do dnia dzisiejszego. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zabierając dzieciarnię na wycieczkę i częstując ją cukierkami, pan ma wobec nich niecne, pedofilskie zamiary; mimo spuścizny wojennej, było normalniej, a pan Franciszek to był Taki Gość!

Widok autobusów z epoki powojennej pozostał też na zawsze w mej pamięci. Pierwsze zapamiętane obsługiwały dwie (!) częstochowskie linie. Czy były numerowane, nie powiem. Pierwsza, najważniejsza, na trasie Raków – Parki, przebiegała Alejami do Krakowskiej (dwukierunkowej na całej długości), aż do celu na Rakowie, ale znowu nie powiem, do którego miejsca; druga, Częstochowianka – Lisiniec (obie te nazwy były dla mnie w tym czasie więcej niż mityczne). Na Raków jeździły autobusy czerwono-



ne, a może kremowo-czerwone; ta druga linia była chyba niebieska, z tym, że za to głowy bym nie dał. Czerwone miały bazę koło naszej szkoły na Sułkowskiego (róg Prądzyńskiego, miejsce to można znaleźć tylko na starych planach miasta). Z okien na drugim piętrze widok na skromną bazę był wspaniały, a że stare poniemieckie büssingi i mercedesy wymagały ciągłych napraw, przyglądanie się tym czynnościom uatrakcyjniało nudne zazwyczaj lekcje.

Druga linia miała bazę na małej uliczce Zgody, za też nieistniejącym stadionem Skry (dla tych przedwojennych – Brygady). Nie trwało to jednak długo, wkrótce wszystko uspołeczniono – dla jednych, dla drugich – upaństwowiono.

I tak powstało MPK, którego bazę zlokalizowano znowu w pobliżu naszej szkoły – między Wąłami Wilsona a Kawią. Pamiętajmy, że nie ma obecnej Alei Jana Pawła II, jest za to pod torami most Kacapski, a główna arteria komunikacyjna to oś ulic Warszawskiej i Krakowskiej, która przeszła też niemałą ewolucję, zmieniając się w Stalinogrodzką. Zajezdnia autobusowa była chlubą i dumą miasta. Chodziliśmy tam nawet na oficjalne wycieczki szkolne. O wycieczkach nieoficjalnych, po lekcjach, nie wspomnę, bo zawsze dostawałem po nich burę za kolosalne spóźnienie do domu na obiad. Zajezdnia przyciągała jak magnes, bo były w niej nowe autobusy, przedtem u nas nie widywane, węgierskie mavagi (takie niedyśjejsze ikarusy) i francuskie chaussony. Te ostatnie, choć jeździły na miejskich liniach komunikacyjnych, w zasadzie obsługiwały komunikację międzymiastową, czyli służyły w popularnym PKS. Dworzec tego PKS-u mieścił się obok ruin bóżnicy, w miejscu, gdzie dziś wieżowiec: placyk ogrodzony drewnianym płotem, wysypany żużlem, i nędzny barczek – kasy i poczekalnia – taki był częstochowski dworzec autobusowy.

A miasto „rwało” do przodu, przybywało ludzi, dla których nie brakowało pracy w hucie, w okolicznych kopalniach rudy, zakładach włókienniczych. Doroślałem i przyglądałem się temu z bliska, w końcu pracowałem i wszystkie te przemiany były mi bliskie.

Trafiłem do dawnych Peltzerów, a to była fabryka z prawdziwego zdarzenia, był więc w niej cały, niemały zresztą dział transportu, którego szefem był Pan Tolek (spotykamy się jeszcze czasami – pozdrawiam). W zakładowych garażach stały (i to bardzo często) będące w nieustającym remoncie (bo taki remont z powodu braku części trwał i trwał) stary, żuki, nyski, a nawet (to już później) autobusy, którymi z okolicznych wsi przywożono pracowników, bo w mieście brakowało ludzi do pracy. Poczesne miejsce zajmowały w tej zakładowej transportowej rodzinie „stonki”, które ewoluowały (jak u Darwi-

na), niespostrzeżenie zmieniając się w luksusowe osobusy. Ten wytwór fantazji naszych konstruktorów wysypał się na polskie drogi niczym owa mityczna stonka ziemniaczana, a że wyglądem przypominał gigantycznego żuka, nie można było odmówić słuszności i trafności ludowemu nazewnictwu (w końcu żyliśmy w Polsce Ludowej). Podróże taką „stonką” też trwale zapisały się w mojej pamięci. Raz nawet, po kilkunastu godzinach podróży, dowiozła mnie (ledwo żywego) aż na Mierzęcę Wiślaną. Oszczędzę już państwu opisów tej wyprawy, wiem jedno: podróże Guliwera połączone z lotem kosmicznym są niczym w porównaniu z tamtą.

W tak szacownej firmie jak Wełnopol musiał być samochód osobowy – i był! Dyrektorska warszawa to cudowne dziecko naszego przemysłu motoryzacyjnego. Nie myślcie państwo, że z tego luksusowego pojazdu korzystał tylko dyrektor – tak na marginesie, Wacław T. był wspaniałym człowiekiem, a nie jakimś niedostępnym (używając wycieczki miary) paniskiem. Warszawą, którą „powoził” kierowca Stasiu N., kasjerka (bez uzbrojonego konwoju) przywoziła z banku wypłatę dla trzech tysięcy pracowników, zaopatrzonych jeździła na poszukiwanie artykułów niezbędnych dla usuwania awarii, a i na różne, czasem bardzo rozrywkowe imprezy zezwalał „Stary”. W Warszawie siedziało się w głębokich, wygodnych, prawie klubowych fotelach lub na tylnym siedzeniu przypominającym przedwojenną babciną kanapę. Podróż, nawet długa, nie była męcząca. Samochód może nie był szybki, ale wtedy i czas płynął wolniej, a drogi... drogi były może węższe, nawierzchnia nie tak nowoczesna jak dzisiejsza, często jezdnia wyłożona zwykłym kamiennym brukiem, czyli kocimi łbami, ale na pewno nie była tak dziurawa jak teraz. Nasz kierowca Stasiu, zawsze pogodny, uśmiechnięty, uprzejmy, przypominał trochę stangreta z parady karety – i to w czasach dyktatury proletariatu! Gdy dyrektor się usamodzielniał, przesiadając się do służbowego nowego fiata 125, Stasiu zasiadł za kierownicą zakładowej nyski. Niejednemu raz jeździło się tym pojazdem, i to przeważnie w kilkuosobowym zespole. Najważniejszy rangą zasiadał po prawej stronie kierowcy i miał do dyspozycji samodzielne drzwi, co nie zawsze było miłe, bo na przykład zimą wiało i ciągnęło, że hej. Drugie drzwi prowadziły do – nazwijmy to – przedziału osobowego, który mieścił chyba osiem osób. Jeżeli skład był dobry i doświadczony, wyjazd zaliczono się do udanych. Podróżowało się raczej powoli, ale nie zawsze z winy kierowcy czy właściwości technicznych pojazdu. Zgrany skład uczestników wyjazdu spawalniał podróże, a na to składali się wiele. Po pierwsze, oprócz spraw służbowych (delegacyjnych) każdy miał do załatwienia prywatne. W takiej Łodzi odwiedzało się kilka domów towaro-

wych (Uniwersal, Central i coś tam jeszcze), konsumowało obiad (golonkę – palce lizac – w knajpie na Wschodniej, gdzie prócz golonki i flaków było tylko podle łódzkie piwo), potem na trasie wypadał podwieczorek, już w Piotrkowie Trybunalskim, a tam europejska (z nazwy) restauracja „Europa” albo (poniżej w piwnicy) nieeuropejski „Kaczy Dołek”, dalej postój na kolację w geesowskiej gospodzie w Gorzkowicach lub Kamieńsku... Radomsko przejeżdżaliśmy już bez popasania. Przyczyna? Wszystko było już zamknięte. A jak uciążliwe były wyjazdy na różne targi w Poznaniu, do którego było dwa razy dalej niż do Łodzi, a po drodze (w obydwie strony) tak szacowne i prastare grody, jak Kalisz, Pleszew, Kórnik, o gościnnych przydrożnych jadłodajniach geesowskich nie wspominając. Szybkie były też wypadki do Bielska, tam tylko krótka wizyta w „Prezydencie” lub „Pod Poczta” i co najwyżej dwa postoje na trasie w Goczałkowicach i Tychach. O wypadkach do Sosnowca w ogóle nie warto wspominać, bo raptem jakie to atrakcje, gąska w Siewierzu (pani Kulikowa) lub kaczką w Romanowie u p. Hollego. I to wszystko dzięki rozwojowi motoryzacji.

Motoryzacja rozwijała się wbrew wszystkim przeciwnościom. Więcej, przyszedł moment, że w pogoni za uciekającym światem nasze władze (czytaj: Gierk) zdecydowały o budowie własnych, rodzimych fabryk produkujących... właśnie, co? Jednak nim nasze ulice wypełniły żółte i czerwone fiaki (ja sam miałem kolejno trzy czerwone, każdy miał inny numer koloru, a co za tym idzie, inny odcień). Zielone też były i rude, i błękitne, białe, kość słoniowa i coś tam jeszcze. Tak, takie to były luksusy. Na Żeraniu produkowano fiata 125, w Lublinie lublina i żuka, w Nysie nyski... I jeszcze autobusy, ciężarówki (Starachowice, Jelcz, Sanok). Ambicje producentów były ogromne: pick-upy, wozy strażackie, karetki pogotowia, a nawet dostawcze tarpány. Nawet nasze podczęstochockie Osiny zaistniały w polskiej motoryzacji kulturowym na owe czasy osinobusem.

Nim jednak ta nowoczesna masowa produkcja wypełniła ulice, dominowały na nich (trzeba podkreślić – też nieliczne) enerdowskie trabanty i luksusowe wartburgi, czeskie škody i nasze syrenki. Wtedy prawie każdy samochód wywoływał sensację; niczym magnes przyciągał zwykłych, ciekawych gapioń i znawców, pasjonatów, takich, co to wiedzieli wszystko. Owa motoryzacyjna wiedza płynęła głównie z „Motoru”, pisma dla... właśnie, pytanie, dla kogo. Wykupowali je nie tylko zmotoryzowani. Nawet ci, co nie mieli na rower składak z bydgoskiego Rometu, kupowali, jak tylko mogli (oczywiście spod lady), tę gazetę, która nie tylko pokazywała światowe nowinki, ale zawierała potężną

dawkę wiedzy o eksploatacji samochodu w różnych warunkach, problemach technicznych, zasadach ruchu, słowem – uczyła i wychowywała.

Rozwój motoryzacji to i nowe zabawy. O samochodowych wyścigach, odbywających się również w naszym mieście, już kiedyś pisałem, ale rozwój motoryzacji niósł nowe wyzwania. Ekskluzywne wyścigi dla kilku wybrańców już nie wystarczały. Entuzjaści z Polskiego Związku Motorowego zaczęli organizować rajdy samochodowe. Oprócz „wyścigowych gwiazd” w szranki stanęli prawdziwi amatorzy, posiadacze własnych czterech kółek – jakże wtedy nieliczni, a na tyle odważni, żeby ten cenny sprzęt wystawić na ryzyko sportowej rywalizacji. Uczestniczyli zatem w sprawnościowych próbach trabanty i mercedesy, między pachółkami słalomu, niczym baletnica, płaśła ciężka, niezgrabna warszawa, a cudów zręczności dokonywał na swej wycyzynowej syrenie sam (znany z łamów „Alei 3”) Janusz Mielczarek. Syrena, poprzerabiana i udoskonalona według różnych wycyzynanych w „Motorze” sugestii, była szybka i zwrotna, a najpiękniejszym i – jak się później okazało – najtrwalszym wyróżnikiem były wymalowane na burtach numery startowe. Janusz malował je pół poprzedzającej start nocy, nadał im piękny kształt, a użyta do tego emulsyjna farba, malowana równo i grubo, czyniła je małymi, niezniszczalnymi dziełami sztuki. Jak były trwałe, przekonał się po fakcie. Malowanie zajęło mu jedną noc, usuwanie – noc całego księżycowego miesiąca. W takiej atmosferze wychowywali się mistrzowie kierownicy, a wymyślne tabele pozwalały porównać wyniki osiągnięte na przedpotopowym trabancie z prawie najnowszym volvo. Oprócz prób zręcznościowych, rajdowcy zaliczali przejazd trasą prowadzącą przez okolice miejscowości, które oczywiście stawały się terenem szalonych wyścigów. A gdy wszyscy osiągnęli już metę, gdy pomierzono czasy, do pracy przystępowali rachmistrze, którzy na liczydłach lub mechanicznych maszynkach mnożyli, dzielili przez przeróżne współczynniki, coś dodawali lub odejmowali, by wreszcie po kilku godzinach ogłosić, kto i w jakiej klasie jest na którymś tam miejscu, kto i jak uplasował się w generalce... i wtedy zaczynały się protesty, wyjaśnienia, pretensje... Polak zawsze potrafił. Na szczęście był to margines. Znakomita większość fetowała, co się da, bo do niedzielnego wieczora, czasu powrotu, było jeszcze daleko.

I brakło miejsca dla naszych wspaniałych traktorów, naszych ursusów i czeskich zetań, dla konstruktorów „samów”, dla całej motocyklowej stajni...

Zbislav Janikowski

FESTYN

Letnie świętowanie w Częstochowie trwa przez kilka tygodni:
Dni Częstochowy, Dożynki Jasnogórskie, Dni Kultury Ludowej



Ad Memoriam

Zbigniew Zapasiewicz

*Kochać i tracić, pragnąć i żalować,
Padać boleśnie i znów się podnosić.
Krzyknąć tęsknocie „precz” i błagać - prowadź!
Oto jest życie: nic a jakże dosyć...*

*Zbiegać za jednym klejnotem pustynie
Iść w toń za perłą o cudu urodzie,
Ażeby po nas zostały jedynie
Ślady na piasku i kregi na wodzie...*

Wiersz Leopolda Staffa „Kochać i tracić” z tomu „Lubędź i lira” w obliczu śmierci Zbigniewa Zapasiewicza, niekwestionowanego geniusza sztuki aktorskiej i aktorskiego warsztatu, ostatniego z wielkich starej dobrej polskiej szkoły, wydaje się mieć pogłębione znaczenie w obliczu kruchości ludzkiego losu. Od ponad 40 lat należę do grona admiratorów kina i teatru, który latami wydeptywał ścieżki do DKF-u, korzystał ile mógł z zaproszeń szkolnego kolegi Marka Obertyna do warszawskiego Teatru Dramatycznego, sycił duszę awangardowymi przedstawieniami Adama Hanuszkiewicza, chłoniął tworzone w parateatralnej przestrzeni z udziałem najznakomitszych artystów polskiej sceny spektakle Teatru TV. Oglądane przeze mnie w stołecznym teatrze w końcu lat 70-tych i początku 80-tych diametralnie różne role Zbigniewa Zapasiewicza w takich sztukach jak: „Książdz Marek” J. Słowackiego, „Pieszko” S. Mrożka, „Kubuś Fatalista” D. Diderota, czy „Operetka W. Gombrowicza skłaniały do formułowania wniosku, iż aktor zmieniał się niczym kameleon. Z majestatycznego, szlachetnego, pełnego powagi i skupienia, oszczędnego i ascetycznego w gestach o wyciszonym głosie księdza Marka przeistaczał się w filuternego, rozwichrzonego, nadmiernie hałaśliwego i ruchliwego Kubusia Fatalistę, by następnie epatować intelektualno-filozoficznym dystansem migrującego wewnątrz bohatera Mrożka. Teoretycznie można by przyjąć, że zmiana rekwizytów i scenografii do poszczególnych spektakli automatycznie przynosi także „zmiانة” postaci, tymczasem dbający o perfekcjonizm „Zapas”, zmieniał się niemal fizycznie do każdej roli, a Jego kreacje warsztatowo były dopracowane do granic absurdu. Wartość rzemiosła była dla artysty najważniejszą podstawą perfekcji zawodowej. W jednym z nielicznych wywiadów w TVP mówił, że prawdziwie profesjonalny aktor powinien umieć zagrać wszystko, nawet drzewo, zacho-

wując jednocześnie własne wnętrze dla siebie, nie czyniąc z niego ekshibicjonistycznego atutu gry. Podkreślał wartość dystansu do samego siebie i granej postaci, której tworzenie winno opierać się li tylko na przesłankach zaczerpniętych z literatury. Ci, którzy nie mogli oglądać Go na żywo w warszawskim teatrze, mieli okazję do podziwiania kunsztu aktora w Teatrze TV, który niejedną rolę „Zapasa” i innych wielkich polskich artystów zapisał w annałach historii sztuki teatralnej. Mnie najbardziej zapadła w pamięć pełna liryzmu i ciepła rola w „Godzinach miłości” z piękną i eteryczną, znakomitą aktorsko Martą Lipińską. Równoległe z teatrem i Teatrem TV Zbigniew Zapasiewicz grał w filmach m.in. u uznawanego za twórcę polskiego kina moralnego niepokoju Krzysztofa Zanussiego, gdzie stworzył - jak mawia dziś młodzież - kultowe kreacje, choćby w telewizyjnym „Za ścianą” czy fabularnych „Barwach ochronnych”, dekadę później w fabularnym „Życiu jako śmiertelnej chorobie przenoszonej drogą pciową”, „Personie non grata” czy obecnie przedpremierowej „Rewizycie”. Grał także u Andrzeja Wajdy, tworząc bardzo wyrazistą postać dziennikarza w filmie „Bez zniczulenia”. Później, zaproszony przez reżysera młodszego pokolenia Władysława Pasikowskiego, zagrał w jego „Psach” rolę cynicznego i bezdusznego senatora Wencla. We wspomnianym tu telewizyjnym wywiadzie Z. Zapasiewicz mówił o bolesnym rozczarowaniu jakie przyniósł Mu film „Ocalenie” Edwarda Zebrowskiego, w którym własnym zdaniem wznosił się na wyżyny filmowego rzemiosła, tymczasem film przeszedł niezauważony, schłastany przez krytykę, a rola została bardzo nisko oceniona. Mówiąc o tym, chciał podkreślić różnicę między oceną pracy aktora dokonaną przez widzów i krytykę a oceną dokonana przez samego artystę.

Częstochowska publiczność miała okazję podziwiać Zbigniewa Zapasiewicza jako herbertowskiego Pana Cogito na deskach Teatru im. A. Mickiewicza. Tamten spektakl niestety, rozczarowywał słabą dyspozycją aktora, co pozwoliłam sobie zrecenzować w „Alejach 3” w r. 2008, niemniej stał się i tak świętem, bowiem rzadko artyści tej miary goszczą w naszym mieście. Z całą pewnością spektakl pozostaje w pamięci jako zapis nie tylko trudnej i niejednoznacznej poezji wybitnego Zbigniewa Herberta, ale i przykład symultanicznego aktorskiego i człowieczego rozumienia tekstu. Podążając za wspomnieniowym artykułem Katarzyny Janowskiej w „Polityce” nr 30/2009, gdzie Andrzej Garlicki mówi m.in.: „uratowała Go miłość”, żegnam wielkiego Artystę słowami Jana Lechońia: „I jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia. Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.”

Joanna Grochowska



Girona Festa dels Flors - Fot. Marek Pernal

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 16

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

BUJAĆ TO MY...

Ciężkie czasy przyszły dla miłośników hip-hopu w regionie częstochowskim. W ostatnim czasie naliczyliśmy już dwa „bolszych prowała”. Jeden z nich to rzekomo gwiazdorski festiwal w Olsztynie, którego organizatorzy sprzedali bilety, nawet nie powiadając artystów, że mają wystąpić. Później falstartem rozpoczęła się seria koncertów na Promenadzie Niemena pod hasłem „Bujamy miastem”. Pierwsza impreza była na tyle nieudana, że środowisko hip-hopowe zażądało głowy znanego rapera i miejskiego urzędnika, który był tej imprezy organizatorem. Wprawdzie ostatnio słyszeliśmy dobiegający od strony Promenady siarczysty rap, więc pewnie się poprawiło. Przy okazji: nikt nigdy nie słyszał o Hip-Hop, Breakdance & Graffiti Festival w Poczesnej. Ale to nie szkodzi, od razu zapowiadamy, że się nie odbędzie.

POSTĘP W SPRAWIE

Ostatnio donosiliśmy, że z ustawionej w III Alei fontanny „Dziewczynka z gołębiami” stopniowo znikają wspomniane ptaki: spośród trzech gołąbków odleciały już dwa. Minęły dwa miesiące, zniknął trzeci, a zarazem ostatni z gołębi stojących na ziemi. Okazało się, że nie oddalił się w nieznanym kierunku, jak tamte, lecz został... zatrzymany przez Straż Miejską. Należy się spodziewać, że znany z ornitologicznych zainteresowań zastępca komendanta podda go przesłuchaniu, aby ustalić, czy gołąb miał coś wspólnego ze zniknięciem swych kolegów.

GDZIE SIĘ CHOWAŁ CZĘSTOCH

Prace nad dostarczeniem częstochowianom dalszych informacji o założycielu naszego Miasta – którego to założyciela do niedawna nie można było nawet nazwać legendarnym – trwają już około dziesięciu lat. Częstochologia jednak pomijała dotąd zupełnie oczywisty trop, używany w takich wypadkach od stuleci. Dr hab. Szymon Zjadaczka, historyk i literaturoznawca zatrudniony w Wydziale ds. Tożsamości Częstochowskiej, otrzymał niedawno zlecenie wyprowadzenia rodowodu Częstocha spod Troi. Złośliwi mówią, że autor utożsamiał go z Tersytem, najgłupszym i najtchórzliwszym z Achajów. Tak czy inaczej, „Częstochida” już powstaje. Podobno będzie nawet heksametrem.

GALOPEM PO WYSTAWACH

Przeglądową ekspozycję z okazji 30-lecia pracy artystycznej zorganizował Tadeusz Witabrewis. Zgromadzone prace rzucają światła na jego drogę twórczą. Malarz do niedawna trzymał się kurczowo realizmu, zarówno w wydaniu XIX-wiecznym („Chrześcijaństwo jedzący dżem”), jak i socjalistycznym („W.I. Lenin uczy się do sesji”). Dopiero ostatnio oderwał

się od sztuki figuratywnej i poszukuje własnego stylu w oparciu o fowizm, neosecesję, filozofię Emmanuela Levinasa itp. Życzymy powodzenia.

W Pabogalerii „Mordownia Leonarda” odbyła się wystawa prac Bogdana Czuczugi i jego kota Kielka. Artysta, wykonujący rzeźby w drewnie, był zmuszony dopisać sobie współautora, gdy po dłuższej przerwie w pracy przekonał się, że kot wykorzystał jego dzieła do ostrzenia pazurów. Prace rzeźbiarza i jego kota charakteryzują się niepowtarzalną fakturą. Nie wiadomo, jakie honorarium otrzymał Kielek za swój wkład.

DLA MIŁOŚNIKÓW NISKICH DŹWIĘKÓW

Pedagog muzyczny Elżbieta Bawółko zamierza zorganizować w Częstochowie międzynarodowy festiwal kontrabas. Impreza miałaby charakter uniwersalny: scena klasyczna i scena jazzowa; coś dla tych, którzy szarpają struny, i dla tych, co pociągają smyczkiem. Honorowana będzie nawet gra na kontrabasie elektrycznym. Wiadomo, że najniższe dźwięki najdalej się rozchodzą, festiwal kontrabasu miałby więc szansę stać się najgłośniejszą imprezą muzyczną w regionie. Pytanie tylko, w jaki sposób częstochowski MPK przeżyje najazd tyłu ludzi z kontrabasami.

TEN YEARS AFTER

Minęło 10 lat od rozpoczęcia sprawy sądowej przeciwko Rolandowi Szeszalskiemu. Dochodzenie miało ustalić, czy jego wystawiona latem 1999 roku w Teatrze Częstochowskim sztuka „Baco” jest plagiatem. Przesłuchano kilkudziesięciu ekspertów, badano tekst pod kątem takim i owakim, kilka razy w niejasnych okolicznościach zniknął akt sprawy, raz nawet pojechały przez pomyłek do Zielonej Góry. I nic: nadal nie ma werdyktu. Co na to sam Szeszalski? – To pomówienie, moja sztuka nie jest plagiatem żadnego innego utworu. W ciągu dwóch lat pisania w ogóle niczego nie czytałem. Poza tym tylko tytuł jest podobny – zdradził nam dramaturg.

SPROSTOWANIE

Niniejszym chcielibyśmy przeprosić Pana Prezesa Zachęty w Latach 2004-2009 za to, że w poprzednim numerze, w artykule Jemu poświęconym, napisaliśmy „eee”; to karygodny błąd, który nigdy więcej się nie powtórzy. Powinno oczywiście być „yyy”. Poza tym przepraszamy, że w tymże artykule użyliśmy dwukropka; jest to znak skrajnie nieprzystoity i nie powinien być używany w ogóle.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Peleńkowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 20 października były wiceminister ds. muzealnictwa dr Jerzy Mongola wystąpi z wykładem „Rysunki konferencyjne: historia, style, perspektywy”. Zamiast notatnika można przynieść wizytówki, chusteczki higieniczne, paczki papierosów itp. Natomiast 29 października pani Jacqueline Suriababo, nauczycielka ze Szkoły Muzycznej, przeprowadzi warsztaty dla duetów na bęben i gwizdek.



Fot. Leszek Pliedowski

Arkadiusz Zając. Absolwent Instytutu Wychowania Artystycznego w Częstochowie (dyplom z malarstwa 1996). Wielokrotnie prezentował obrazy i rysunki w rodzinnej Częstochowie oraz m.in. w Warszawie, Krakowie i Nowym Jorku. Laureat konkursów plastycznych. Autor okładek płyt, plakatów teatralnych oraz ilustracji książkowych.



Arkadiusz Zając – Tratwa złotej arki (2002-2005)

